POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień — ***Dnia 25-go września 1943r.*** — **Rok V. Nr. 38**

PRZODOWNICTWO W EUROPIE

Miałem niedawno ciekawą rozmowę z jednym z przyjaciół angielskich na temat przodownictwa w powojennym życiu europejskim. T.zw. *leadership* jest pojęciem, które w polityce wewnętrznej Wielkiej Brytanii odgrywa znaczną rolę. Jest jedną z przesłanek porządku i dobrego funkcjonowania demokracji w tym kraju. Nic dziwnego więc, że Anglicy pragną je zastosować także na szerszą skalę — do zdemokratyzowanego życia międzynarodowego Europy. Hitleryzm chce oprzeć porządek tego życia na rozkazodawczym przywództwie. Anglik, rozmiłowany w zespołowości zdyscyplinowanej, ale szanującej wolność jednostki, oczekuje porządku od poddawania się przodownictwu, bez którego nie może być harmonii we współdziałaniu wielkich mas ludzkich. Pomiędzy tymi dwoma pojęciami—*Fuehrera* i *leadera* — leży ogrom różnicy pomiędzy dyktaturą a zorganizowaną demokracją.

Ale sposób, w jaki wielu z naszych gospodarzy wyobraża sobie *leadership* w Europie powojennej, bywa niebezpieczny. W swoim zrozumiałym zapale do tej instytucji przeoczają czasem pewne jej przesłanki. Przeoczał je w szczególności mój przyjaciel angielski, który mi tłumaczył /zgodnie z poglądami rozpowszechnionymi w tutejszej publicystyce/, że Europę powojenną trzeba będzie podzielić na dwie strefy: jedną pod przodownictwem brytyjskim, drugą pod przodownictwem rosyjskim. W. Brytania i Rosja, grając niejako na cztery ręce na fortepianie europejskim, stworzą harmonię tam, gdzie dotąd były same rozdźwięki.

Niewątpliwie wielu z czytelników "Polski Walczącej" spotykało się i spotyka z tego rodzaju poglądami. Może więc przyda im się do dyskusji z przyjaciółmi angielskimi to, co ja odpowiedziałem mojemu entuzjaście *leadershipu*.

* * *

Zacząłem od tłumaczenia, że skoro *leadership* jest urządzeniem demokratycznym, nie można od góry przepisywać ludom europejskim, kogo mają sobie obrać na przodowników, ale trzeba poczekać, komu one same powierzą *leadership* nad sobą. Zasada wyrażona w Karcie Atlantyckiej, wedle której należy uszanować "prawo każdego narodu do wybrania sobie kształtu rządu, pod którym chce żyć," winna być, rzecz oczywista, zastosowana również do zbiorowego życia narodów. Tymczasem propagatorzy idei *leadershipu* /przynajmniej niektórzy z nich/ zdecydowali rzecz, nie pytając o zdanie nikogo z zainteresowanych.

W jednym z najpoważniejszych tygodników londyńskich /"*The Observer*"/ wypowiedziano w połowie kwietnia u.r. zdanie, które można uważać za typowe w tej materii: "Jedność europejska może powstać, i powstanie, w jeden tylko sposób: dzięki czynnej interwencji jednego z wielkich mocarstw europejskich. A są dziś w Europie trzy tylko mocarstwa: Niemcy, Rosja i W. Brytania."

Ponieważ zaś Niemcom przez długi czas jeszcze nie będzie wolno nadawać tonu życiu naszego kontynentu, przeto — wedle powyższego poglądu — pozostają W. Brytania i Rosja jako ubezpieczyciele jedności i ładu w Europie powojennej. Spotyka się często porównanie, że W. Brytania i Rosja to dwa słupy, na których opierać się będzie sklepienie europejskie. Przy czym jednemu z tych państw przypadnie przodownictwo na zachodzie, drugiemu przodownictwo na wschodzie.

—My w Polsce — uśmiechnąłem się do mego przyjaciela — mówimy o niektórych dzieciach, że chowają się pod spódnicę matki. Ale to ich rodzona matka, no i to chodzi o dzieci. Czy może Pan pogodzić z zasadami demokratycznymi dekretowanie, kogo narody europejskie mają uważać za swą matkę?

* * *

Poza tym przypomniałem swemu przyjacielowi, że oddawanie *leadershipu* wielkim mocarstwom dlatego tylko, że są wielkie, iest myśleniem kategoriami, które rządziły otwarcie polityką międzynarodową przed pierwszą wojną światową; które kierowały nią wstydliwie, ale niemniej faktycznie w okresie dwudziestoletniego rozejmu; i które rozsadziły Ligę Narodów. Było to myślenie, wedle którego rozmiar państwa rozstrzyga o jego uprawnieniach. Oburzano się na doktrynę niemiecką, gdy dowodziła, że siła iest prawem. Faktycznie jednak uczeni niemieccy ujmowali w język teorii to tylko, co w praktyce stosowały niemal wszystkie, lub niemal zawsze, wielkie mocarstwa.

Po r. 1918, kiedy to rzekomo współżycie państw miało toczyć się po drogach nowej moralności międzynarodowej, opartej o równouprawnienie wszystkich narodów, wielkich czy małych — po r. 1918 zarzucono starą terminologię. Nie mówiło się o prawach wielkich mocarstw, ale o ich "odpowiedzialnościach" /*responsibilities*/. Ale prawa czy odpowiedzialności, rezultat był ten sam: wielkie mocarstwa rościły sobie pretensje do silniejszego głosu w aeropagu genewskim i domagały się od mniejszych narodów uznania następstw faktu, że mogły rzucić na wagę swój imponujący ciężar militarny, gospodarczy i finansowy. A wśród istniejących warunków argument nagromadzonej i daleko sięgającej potęgi był nieodparty.

Powstaje teraz pytanie: czy zamierzamy myślenie tymi samymi kategoriami przerzucać w przyszłość? Wyborem W. Brytanii i Rosji na przodowników Europy nie kieruje nic innego, jak że będą to dwie największe potęgi materialne, dwa największe brytany stróżujące przed obejściem europejskim. I jeżeli ktoś uważa, że *leadership* w Europie należy się tym, co potrafią szczerzyć najmocniejsze kły i kłaść na innych najcięższą łapę, to jego żądanie przyznania *leadershipu* w Europie W. Brytanii i Rosji jest całkowicie uzasadnione.

Było by jedynie interesujące dowiedzieć się, jaka jest istotna różnica pomiędzy *leadershipem*, którego uzasadnienie opiera się jedynie o argument potęgi, a starym, dobrze znanym pojęciem . . . dominacji? Osobiście, pomimo starannych usiłowań, nie potrafiłem odnaleźć tej różnicy.

—A Pan potrafi? — zapytałem swego rozmówcy.

* * *

Milczał i po chwili zaczął z innej beczki. Twierdził, że utrzymywanie porządku i bezpieczeństwa w spacyfikowanej Europie wymagać będzie siły, którąby potrafiła trzymać w ryzach narody krnąbrne lub żywiące zamiary napastnicze. A tej siły będą mogły dostarczyć jedynie W. Brytania i Rosja.

Odpowiedziałem, że rozumowanie to jest bez zarzutu, pod jednym wszelako warunkiem: że atmosfera życia europejskiego pozostanie taka sama, jaka bywała dotąd przez wszystkie wieki historii. Że więc pozostanie nadal możliwość poszukiwania rozstrzygnięć siłą. Że nie powstanie nowa z gruntu, oparta o powszechne rozbrojenie konstytucja życia międzynarodowego w Europie. Że mniejsze państwa będą musiały oglądać się za protektorem, któryby je wziął w obronę przed napaścią. Że, jednym słowem, Kartę Atlantycką napisano i podpisano nadaremno i — nawiasem mówiąc—drugą wojnę światową prowadzono też nadaremno.

Ale nie taki stan przecież ukazują nam na widnokręgu powojennym alianccy kierownicy duchowi i moralni. Mówi się o szeregu środków zbiorowego czuwania nad tym, by hydrze wojen nie odrastały łby. Mówi się o komisjach międzynarodowych, o policji międzynarodowej, o umiędzynarodowionym lotnictwie i t.p.

Wszystkie te środki mają służyć powszechnemu interesowi wszystkich ludów europejskich bez względu na ich wielkość. Egoizmy państwowe mają być wyklęte; egoizm nie staje się podobno bardziej moralny przez to, że egoista jest wielki. Skąd więc biorą się pomysły powierzania przodownictwa w umoralnionej Europie państwom wybranym dlatego tylko. że będą miały największą potęgę materialną, a zatem tę właściwość właśnie, której chce się odebrać rozstrzygające znaczenie?

* * *

—To nie znaczy jednak, — pośpieszyłem zapewnić swego rozmówcę — by należało całkowicie odrzucić ideę *leadershipu* w Europie. Chodzi jedynie o to, by nie wychodzić w teorii ze stanowiska, że wielkie mocarstwa będą otaczały małe państwa ojcowską opieką, a dochodzić w praktyce do tego, że opiekun dba przede wszystkim o swoją wygodę i swoje dostatnie życie. Chodzi o to, że w wysuwanych projektach rzecz obraca się raczej około interesów tego, kto ma przodować, niż koło interesów tych, którym się ma przodować. Trzeba, krótko mówiąc, nadać *leadershipowi* uprawnienie moralne. Skąd je wziąć?

Sięgnijmy do podobieństw z państwowym życiem wewnętrznym. Pogrzebana epoka, w której przodownictwo w państwie przypadało pewnym warstwom z racji przywilejów urodzenia lub majątków, ta pogrzebana epoka odpowiada na terenie międzynarodowym wciąż jeszcze, niestety, żywemu okresowi, kiedy przodownictwo uzyskuje się dzięki przywilejowi potęgi materialnej. Trzeba to zmienić, jak zmieniono w polityce wewnętrznej. Trzeba państwom kandydującym na przodowników kazać zarabiać własnymi zasługami na to stanowisko. Zarabiać takimi zaletami, jak zdolność przewidywania, uczciwość zamiarów, brak samolubstwa, poczucie obowiązku wobec wspólnoty narodów, zdolność do inicjatywy, szanowanie cudzego, prostolinijność, lojalność i praca wykonana na rzecz sprawiedliwości w świecie.

—Niech się Pan zastanowi — zakończyłem — czy wszystkie te zalety można znaleźć u proponowanych przodowników. I także, czy ich poglądy na kształt i poziom życia kulturalnego są tak sharmonizowane, by nie zachodziła obawa, że z dwóch koni zaprzężonych do wozu jeden będzie ciągnął w jedną stronę a drugi niekoniecznie w tę samą.

MIECZYSŁAW SZERER

ANDRZEJ WART: W kabinie kierowcy



Szkic sytuacyjny

PIĄTA POŁĄCZYŁA SIĘ Z ÓSMĄ

W kampanii włoskiej były chwile, które język angielski nazywa skrótem "*touch and go*"; przez dwa dni zdawało się, że Niemcom powiedzie się próba zepchnięcia Amerykan z plaży Salerna. Niemcy przedwcześnie ogłaszali "nową Dunkierkę." Sojusznicy, doceniając jednak wagę operacyj włoskich, rzucili lotnictwo i wsparli oddziały amerykańskie flotą. Wspaniała *Royal Navy*, której epos w tej wojnie należy do najpiękniejszych, raz jeszcze pokazała swoją siłę. Rozwinęła ona i rozwija u brzegów włoskich żywą działalność. Niejedna akcja wspiera się na jej dalekonośnych działach.

Armia piąta połączyła się z ósmą i oto między Salerno a Bari istnieje łączność. Zażarte walki toczą się na pagórach nad Salerno, o dostęp do Neapolu, wiodący przez drogi ukryte w jarach i wąwozach. O ile na wschodnim brzegu akcja idzie szybciej, o tyle pod Salerno Niemcy walczą twardo. Posuwanie się na Neapol jest wolne, ale wydaje się, że przez pochwycenie wysp takich jak Ischia, Capri, Ponza sojusznicy mają Neapol w rękach. *Royal Navy* może wystąpić lada dzień i obawiać się należy, że na Neapol i port spadną salwy brytyjskie.

Ponieważ lotnictwo działa już z baz na lądzie stałym Włoch, należy liczyć się ze wzmożonym bombardowaniem kraju. Pochwycenie Foggii jest tu ważnym zadaniem, albowiem Foggia panuje nad Neapolem i Rzymem. Jeżeli to się stanie, to zagrożenie lotnicze Włoch silnie wzrośnie. Ziemia włoska odczuje jesienią i zimą ciężar bombardowania.

Położenie wojskowe we Włoszech powoli się przejaśnia, ale daleko jeszcze do zupełnego wyklarowania. Niemcy mają dalej poważne atuty w ręce. Lotnictwo ich skupia się w pasie środkowym i północnym, wojska pancerne i zmotoryzowane są liczniejsze, aniżeli sądzono. Szanse uderzenia z głębi lądu nie zostały udaremnione. *Działania we Włoszech są zatem ciągle zależne od siły naszego rozmachu, od natężenia naszej woli. Nie sposób pozwolić tu sobie na jakiekolwiek zluźnienie uwagi.*

Wydaje się, że Rzesza czerpie, zasilając front włoski, nie tyle ze Wschodu — tam musi zostawiać swoje pełne stany — i nie tyle z Zachodu, ile z samej Rzeszy. Ponieważ rezerwy niemieckie w rdzennej Rzeszy są wcale znaczne /częściowo napływa już element z t.zw. totalnej mobilizacji/ trzeba sądzić, że na Włochy rzucane są właśnie te rezerwy z rdzennej Rzeszy.

OBLICZE POLITYCZNE WŁOCH

Położenie polityczne kraju jest może jeszcze mniej jasne, aniżeli sytuacja wojskowa. Król i książę Umberto znajdują się na Sycylii, marszałek Badoglio wyjechał do Płn. Afryki /Libii?/, ażeby tam przeprowadzać rekrutację wśród włoskich jeńców wojennych. Nie wiemy, jakie da to skutki.

We Włoszech Niemcy ekshumowali Mussoliniego, którego uwolnili z Gran Sasso d'Italia, najwyższego szczytu Apeninów, przy pomocy śmiałego i teatralnego wyczynu. Jakkolwiek sam wyczyn jest zastanawiający i pełen fantazji — co przyznają sami Anglicy — przedmiot, jaki uwolniono, nie usprawiedliwia całej akcji. *Mussolini*, którego wyzwolono z pod opieki niezbyt bohaterskiej straży, *nie jest Napoleonem w przededniu swoich stu dni.* Jest to ruina człowieka; żadnej starej gwardii, którąby do niego się przyznała nie widać, jego apel radiowy był żałosny w swojej bezradności, w skargach i skomleniach.

Ten właśnie apel przekonywał każdego, że Duce nie miał już na schyłku swojej kariery żadnych przyjaciół, skoro nikt go nie bronił przed porwaniem do ambulansu Czerwonego Krzyża /co za ironia/, skoro nikt się o los jego nie zatroszczył i skoro odbicia jego dokonali nie faszyści, ale Niemcy.

W całej tej maskaradzie jest wiele momentu operetkowego, wiele melodramatu — i trzeba powiedzieć, że schyłek rządów Cezara-Mussoliniego jest wyjątkowo niepoważny. Jeżeli dzisiaj Mussolini godzi się jednak na to, ażeby przybierać jeszcze jakieś pozy, ażeby ogłaszać powołanie do życia nieistniejącej już partii, ażeby przemieniać ją na "partię republikańską" — to trzeba przyznać, że jest to widowisko pozbawione godności, operetkowe, upokarzające.

Można przypuszczać, że Hitler nie wybierze jednak takiego losu i że schyłek jego będzie chyba bardziej tragiczny.

CO NA BAŁKANACH?

Nie wiemy, jakie zamiary mają sojusznicy wobec Bałkanów. *Obecność oficerów brytyjskich* w Dalmacji, o czym wspominała prasa brytyjska, *dowodzi, że nawiązano szerszą łączność z Michajłowiczem.* Wydaje się także, że możliwości uderzenia na Bałkany rosną na skutek opanowania pewnych wysp w grupie Dodekanezu. Akcja od strony Bari umożliwiona jest dzisiaj przez obecność jednostek brytyjskich w Taranto, podobnie jak i na skutek faktu, że *włoskie jednostki, w liczbie* 108, *znajdują się dzisiaj w rękach sojuszniczych.*

Pogłoski, że Turcja ruszy niebawem, umacniają się i nie było by w tym nic dziwnego. Stanowisko Turcji jest dzisiaj wyjątkowo korzystne.

BLOKADA SZWAJCARII

Radio szwajcarskie podało do wiadomości, że ruch pasażerski na szlaku Simplonu został zatrzymany. Nie wiemy, czy jest prawdą, iż Niemcy starają się wywrzeć presję na Szwajcarię, ażeby dała im ułatwienia tranzytowe. Staje się ona bardzo ważna dla Niemców w chwili, gdy mają na głowie kłopot kampanii włoskiej.

Szwajcaria zdecydowana jest oprzeć się wszelkim naciskom. Ma ona 250,000 żołnierza pod bronią. Może, jak słychać wystawić 800.000. Generał Guisan, który cieszy się powszechną popularnością, skończył właśnie inspekcję stanowisk obronnych wzdłuż granicy włosko-szwajcarskiej.

NA WSCHODZIE

Wojska niemieckie cofają się dalej i stale, sowieckie prą naprzód. Brama smoleńska jest zagrożona. Marsz na Kijów zyskuje na sile. Wojska niemieckie na Ukranie znajdują się w trudnej pozycji. Nie wiemy czy uda się utrzymanie przyczółka na Kaukazie, a raczej jego resztek, podobnie, czy Krym nie pójdzie pod nóż.

Jakie są zamiary strategii niemieckiej — nie wiemy. Zaznaczaliśmy, że możliwe jest, iż marzy się jej jakieś powtórzenie Jezior Mazurskich i to gdzieś n.p. na bagnach Prypeci. Być może, że chce ona zyskać lepsze, łagodniejsze warunki zimowania. Jeżeli tak, to należy się liczyć z dalszym cofaniem. Być może, że linia budowana na kresach Polski wejdzie w użycie i życie i że Rzesza gotowa jest bronić twardo dopiero tej linii.

Wszystko to dowodzi, że nacisk sowiecki jest olbrzymi, a Rzesza nie może sobie pozwolić dzisiaj na żadne osaczenie stanowisk, na straty ludzkie. Fakt, że komunikaty sowieckie nie wspominają o jeńcach dowodzi, iż odwrót niemiecki jest składny, *na razie jeszcze jest to odwrót w ordynku i szyku.* Czy będzie tak za dwa czy trzy miesiące, nie wiemy.

Widmo przegranej na Wschodzie jest dzisiaj chyba oczywiste dla każdego Niemca. Przegranej — albowiem wszelkie tracenie tak ciężko zdobytego gruntu, jest klęską.

FINLANDIA W PRZEDEDNIU ODEJŚCIA?

Radio fińskie nadaje coraz częściej nowiny ze źródeł sojuszniczych, a pisma pro-hitlerowskie Finlandii troskają się, że kraj może dokonać jakiegoś niemiłego dla Niemiec zwrotu. Wiele wskazuje na to, chociaż z drugiej strony przykład Włoch dowodzi, że Niemcy nie puszczają płazem odstępstwa. Czy istotnie Finom uda się wyjście z matni, czy zdołają oni przekonać Niemców, że neutralność Finlandii będzie dla Niemców "korzystniejsza"? Jak słychać, narady t.zw. wielkiej trójki a więc USA, W. Brytanii oraz Rosji, które miały się już dawno rozpocząć, zajmą się w niedalekiej już przyszłości sprawą państw bałtyckich oraz zagadnieniem Finlandii.

Na razie jednak nie doszło do narad "*Big Three.*" Może powrót Churchilla wyjaśni tę sprawę. Opinia brytyjska, jak n.p. głos "*Observera*" z dnia 19-ego września, dowodzą, że narady takie powitane byłyby bardzo życzliwie, ale że doświadczenia przeszłości każą odnosić się do skutków tych narad raczej powściągliwie.

Słowa Churchilla, że "zanim spadną liście dojdzie do ciężkich walk," okazały się prawdą. Walki we Włoszech przybiorą raczej na sile, aniżeli osłabną, walki na Bałkanach mogą się zacząć lada chwila.

Z tempa jednak działań można by wnosić, że w tym roku trudno oczekiwać jeszcze rozstrzygnięcia militarnego. *Decyzja polityczna mogłaby ubiec wojskową, ale po ostatniej mowie Hitlera i po nominacji Himmlera nie bardzo można oczekiwać takiego zwrotu.*

Liczyć się zatem wolno z ciężkimi bojami przez całą jesień i zimę. Wiosna 1944-ego okaże dopiero jak daleko zaszliśmy na drodze kruszenia murów "europejskiej fortecy."

Londyn, dnia 20-ego września

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

13 *września: Polskie dywizjony myśliwskie przeprowadzały wymiatanie nad północną Francją. Do walki z lotnictwem nieprzyjacielskim nie doszło. Wszyscy piloci polscy powrócili.*

14 *września: Niemcy ogłosili o wycofaniu się z Briańska.*

—Naczelny Wódz gen. broni K. Sosnkowski mianował inspektorem lotnictwa płk. dypl. pil. Mateusza Iżyckiego.

—Polskie dywizjony myśliwskie wykonały wymiatanie ponad terenami okupowanymi przez nieprzyjaciela. Do spotkań nie doszło. Wszyscy piloci polscy powrócili.

15 *września: Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały wyprawy bombowe, przeprowadzały wymiatanie oraz wykonały dalekosiężne patrole ofensywne. Wszyscy piloci polscy powrócili z tych działań.*

—Mussolini ogłosił, że obejmuje naczelne kierownictwo republikańskiej partii faszystowskiej. W Niemczech istnieje narodowy rząd faszystowski.

—Niemcy podały do wiadomości, że pakt trzech państw "osi" nadal istnieje.

16 *września: Wojska rosyjskie zajęły Noworosyjsk nad Morzem Czarnym, oraz Nowogrod-Siewierski nad Desną.*

—Polskie dywizjony myśliwskie przeprowadzały wymiatanie i osłaniały wyprawy bombowe. Wszyscy piloci powrócili z tych działań.

17 *września: Po zaciętych walkach w rejonie Salerno, prowadzonych ze zmiennym szczęściem, wojska sojusznicze zmusiły Niemców do wycofania się.*

—Rosjanie ogłosili o zajęciu Briańska.

—Polskie samoloty myśliwskie wykonały dalekosiężne patrole ofensywne współdziałając z Królewską Marynarką brytyjską. Inne samoloty myśliwskie osłaniały akcję wyławiania z morza pilota brytyjskiego. Wszyscy piloci polscy powrócili z tych działań.

—Naczelny Wódz gen. broni K. Sosnkowski dokonał aktu promocji czterech podchorążych na podporuczników Marynarki Wojennej, w korpusie morskim.

—Naczelny Wódz po inspekcji oddziałów spadochronowych wydał rozkaz nr. 13 do żołnierzy tych oddziałów. W rozkazie tym czytamy:

"Już w pierwszym zetknięciu się z Wami mogłem stwierdzić, że oddziały spadochronowe zdołały wytworzyć swój odrębny styl żołnierski, swój własny wyraz duchowy. Jest to rzecz niezmiernie ważna. Żołnierz wojsk spadochronowych musi łączyć w sobie temperament i rozmach lotnika z surową i twardą dyscypliną ciężko pracującego piechura; fantazję zagończyka z zaciekłą nieustępliwością obrońcy wysuniętej i osamotnionej pozycji. Użycie operacyjne waszej broni opierać się musi o pierwiastek wyobraźni, impetu i ryzyka."

18 *września: Polskie dywizjony myśliwskie wykonały trzy osłony wypraw bombowych, jedno wymiatanie ponad terenami okupowanymi przez nieprzyjaciela oraz dwa dalekosiężne patrole ofensywne. Do spotkań z nieprzyjacielem nie doszło. Wszyscy piloci powrócili.*

—Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały trzy wyprawy bombowe oraz przeprowadziły wymiatanie. W czasie walki, która się wywiązała, zestrzelono jeden Focke Wulf 190 napewno. Wszyscy piloci polscy powrócili.

19 *września: Churchill powrócił z Ameryki do Londynu.*

Nowości lotnicze

WALT DISNEY A SPRAWY LOTNICZE.

W tej chwili jeden z świetlnych teatrów w Londynie, "New Gallery" na Regent Str. wyświetla rysunkowy film Disneya p.t. "*Victory through Air Power*". Jest to film stworzony wielkim nakładen pracy i kosztów. Wprowadza widza w zagadnienia wielkiej polityki lotniczej wojennej i daje pewien obraz przyszłości lotnictwa. Speakerem jest sam Seversky, nawet do tytułu filmu użyto tytułu jego sławnej książki. Przy tej sposobności godzi się zauważyć, że ta książka ukazała się właśnie w tłumaczeniu polskim p.t. "W potędze powietrznej zwycięstwo". Celem politycznym filmu, na użytek rynku wewnętrzno-amerykańskiego, jest wykazanie, że należy wszystkimi siłami dążyć do zjednoczenia lotnictwa wojennego, transportowego i produkcji w jednym ręku. Jest to bowiem warunkiem siły państwowej U.S.A. zarówno w chwili obecnej, jak i w przyszłości.

Było by nad wyraz wskazane, by polscy zwolennicy podziału lotnictwa na cywilne i wojskowe zapoznali się zarówno z tym filmem, jak też i z literaturą fachową na ten temat, choćby z książką Seversky'ego. Bądź co bądź obok Doueta i Mitchella, Seversky jest jednym z najpoważniejszych dziś fachowców, którzy zabierali głos w sprawach przyszłości lotnictwa.

W tej chwili rozgrywaja się na naszej arenie politycznej losy przyszłości lotnictwa polskiego. Poruszyliśmy w naszych ostatnich "Nowościach" szereg zagadnień najbardziej palących. Być może, iż tezy przez nas wysunięte nie trafiły wszystkim do przekonania. Może jest rzeczą czystego przypadku, że przeciwnikami tych tez, a więc zwolennikami podziału lotnictwa są ludzie, którzy z lotnictwem zetknęli się po raz pierwszy przy omawianiu tego zagadnienia, podczas gdy za jednością wypowiedział się jednogłośnie cały świat lotniczy i techniczny. Lotnictwo to nader odrębna i specyficzna strona naszego życia społecznego. Lotnictwo to wiedza, nauka a przede wszystkim doświadczenie, które trzeba zdobywać latami nie gdzieidziej jak właśnie w lotnictwie. Ogółem smętne są dyskusje o lotnictwie bez lotników. Polskie lotnictwo zasłużyło chyba na to, by brać udział w rozprawach, które mają decydować o jego losie.

Chcemy też zaznaczyć, że tezy przez nas głoszone nie są krytyką kogoś, czy czegośkolwiek, nie są także osobistym wynalazkiem autora. Są tezami, które dawno międzynarodowy świat lotniczy uznał nie za tezy, lecz po prostu już za reguły. Są bowiem wynikiem historycznych doświadczeń.

Nie jest naszym celem prowadzenie polemik. Naszym zadaniem jest informowanie czytelników o najważniejszych przejawach życia lotniczego w świecie. Nie wypełnilibyśmy naszego obowiązku, gdybyśmy z tych czy innych względów unikali omawiania zdarzeń lotniczych na polskiej arenie. Należy wyciągać wnioski proste i uczciwe ze spraw prostych i nie ulegających wątpliwości. W sprawie sztucznego podziału lotnictwa, wnioski te mogą być tylko jedne. W chwili, gdy na całym świecie wszystkie sprawy lotnicze łączy się w imię interesów państwowych, odwrotny kierunek jest szkodliwy dla interesów państwa. Szczególnie dla Polski. Wynika to bowiem z roli jaką lotnictwo w przyszłym świecie będzie odgrywać, szczególnie i właśnie w Polsce. Żaden uczciwy fachowiec inaczej mówić ani pisać nie może i było by nieuczciwe przemilczać co złe, lub złe przedstawiać jako dobre.

Omyłki zawsze zdarzać się mogą. Omyłki były popełniane nawet przez genialne głowy. Napoleon pomylił się n.p. odrzucając jako nierealny projekt statków parowych. Rzecz w tym, że omyłki należy zawczasu poznać i zawczasu naprawiać. Publicysta, czy jak w tym wypadku komentator zdarzeń, musi na jawne omyłki zwracać uwagę i ostrzec przed narażeniem na szkodę rzeczy publicznej. Nie jest to żadną krytyką. . . .

Jedno jest niezaprzeczalne: przez lat dwadzieścia pięć (dwudziestopięciolecie lotnictwa polskiego obchodzić będziemy w dniu 5 listopada) lotnictwo polskie walczyło z podziałem spraw lotniczych między rozmaite ministerstwa. W konsekwencji wrzesień 1939 pokazał, że lotnictwa miało rację.

ROZMAITE FRONTY

Jesteśmy w tej chwili świadkami gwałtownych zmian w dotychczasowym dość stałym dyspozytywie sił lotniczych Hitlera. Pomijając gwałtowny wzrost niemieckiego lotnictwa myśliwskiego, wydaje się rzeczą prawie pewną, że jednak nastąpiły odciągnięcia jednostek "Luftwaffe" z frontu wschodniego na front południowy. Pociągnie to za sobą w konsekwencji zmianę w rozlokowaniu alianckich sił lotniczych. Stojąc w obliczu wymocnionej działalności "Luftwaffe" nad Włochami, wyrazić należy opinię, że przyszłość może przynieść ze sobą nową, o decydującym znaczeniu bitwę powietrzną wywołaną przez stronę niemiecką, którą R.A.F. oraz lotnictwo amerykańskie przyjąć i rozegrać będzie musiało. Będzie to druga bitwa o Morze Śródziemne. W razie zwycięskiego jej dla Aliantów wyniku powstanie możliwość okupacji Włoch i przyparcia Niemców do Alp. Od jej wyniku również będzie uzależniona inwazja Bałkanów.

W tej chwili siły marszałka Teddera są zaangażowane w walkę o utrzymanie przedmości, opanowanych przez desanty brytyjskie i amerykańskie. Równocześnie na nowo muszą podjąć trud wybombowywania lotnictwa niemieckiego z tych samych baz, z jakich wykurzyły już Włochów. Nieznane nam przyczyny spowodowały niewykorzystanie dostateczne pierwszego zwycięstwa powietrznego. Drugie będzie znacznie trudniejsze do osiągnięcia. Wygląda bowiem na to, że decydujące sprawy tej wojny mogą rozegrać się—zresztą w myśl twierdzień ś.p. generała Sikorskiego—nie na froncie wschodnim, lecz właśnie zachodnim, w tym wypadku na zachodnio-południowym.

Bombardowania strategiczne przez siły lotnicze z wysp brytyjskich trwają dalej, może w nieco zmiejszonej skali. Wybór celów jest nader troskliwy, a ich kolejność bynajmniej nie przypadkowa. Jednym z najciekawszych fragmentów tej wielkiej ofensywy powietrznej było zbombardowaie Peenemuende oraz Manheim, oba działania stojące w ścisłym związku ze sobą. Prawdopodobnie straty poniesione przy tej sposobności przez oba lotnictwa brytyjskie i amerykańskie, zostały zrównoważone sukcesem niecodziennym. W każdym razie mogą pociągnąć w skutkach ocalenie wielu tysięcy żyć ludzkich, bowiem w tych miejscach działy się rzeczy i sprawy nad wyraz ciekawe i nad wyraz niebezpieczne. . . .

NOWY NAWRÓT W PRODUKCJI NIEMIECKIEJ

W tej chwili Niemcy znów przestawiają produkcję, tym razem z powrotem na bombowce. Można z tego wyciągnąć takie wnioski:

a/ gwałtowna produkcja myśliwców osiągnęła takie rozmiary, że nie tylko wypełniła luki w stanach dywizjonów, nie tylko pozwoliła zwiększyć sumę jednostek pierwszej linii, lecz także zabezpieczyła niemałe rezerwy na przyszłość;

b/ Niemcy przygotowują się do ofensywnego działania na wiosnę 1944. Niewątpliwie nadzieje niemieckie są związane z dobrymi rezultatami t.zw. mobilizacji totalnej, która zdaje się dała niespodziewanie dodatnie wyniki.

W każdym razie należy jeszcze raz podkreślić: Niemcy ciągle nie są pokonane i łatwo pokonane nie będą. Zbliża się chwila decydująca w tej wojnie. Należy się do niej przygotować nader poważnie zarówno pod względem materialnym, jak i duchowym.

M. J. GORDON

DZIAŁALNOŚĆ LOTNICTWA POLSKIEGO W WIELKIEJ BRYTANII

za czas od 1.VIII.1943 do 31.VIII.1943

Lotnictwo myśliwskie		Lotnictwo bombowe	
Ilość zestrzelonych samolotów nieprzyjaciela:		Ilość wypraw: 32	Łączna ilość samolotów: 174
pewnych —	11	Główne cele: Bombardowanie Hamburga i München-Gladbach.	
prawdopodobnych —	2	Minowanie wód npla i patrolowanie mórz.	
uszkodzonych —	9		
Ostrzelano pociąg oraz ścigacze nieprzyjacielskie.			

Razem od początku działań do 31.VIII.1943 na terenie Anglii i Bliskiego Wschodu

Zestrzelono samolotów nieprzyjaciela:		Ilość wypraw: 595	Łączna ilość samolotów: 5770
pewnych —	570	Ponadto w walkach z samolotami npla zestrzelono 1 samolot, 8 prawdopodobnie i 4 uszkodzono.	
prawdopodobnych —	152		
uszkodzonych —	192		

Dywizjon w D-twie Obrony Wybrzeża prawdopodobnie zatopił 6 i uszkodził 7 okrętów podwodnych.

O tej godzinie w Polsce

Próba zamordowania narodu*

Znane jest powiedzenie Hitlera użyte w mowie przed "bitwą o Wielką Brytanię," a zapowiadające "*ausradieren*" przez "Luftwaffe" Londynu oraz innych miast angielskich. Wiemy, że zapowiedź nie bardzo się udała, ale jest rzeczą pewną, iż te realistyczne czasowniki w ustach Niemca nie są tylko przenośnią. Podobna zapowiedź w stosunku do Polski obiecywała, że "naród polski zostanie zniesiony i starty z powierzchni ziemi." Anglia miała "Spitfire'y," Polska nie ma materialnej siły do obrony. Dlatego realistyczny czasownik "zetrzeć" został w stosunku do Polski w większej mierze przez Niemców wprowadzony w życie niż czasownik "*ausradieren*" w stosunku do londyńskiej City.

Niemcy nie czynią niczego bez "teoretycznej podbudowy." Największe okrucieństwo i najdrobniejsze głupstwo musi mieć swoją "*Grundlage*" z licznymi załącznikami. Postanowiwszy zniszczyć naród polski, wysmażyli dla tej zbrodni zasadniczą podbudowę teoretyczną.

Oparła się ona przede wszystkim na ulubionym koncepcie polityki niemieckiej, stosowanym chętnie i do innych narodów, a polegającym na twierdzeniu, że każdy naród i wszystkie państwa, z wyjątkiem narodu i państwa niemieckiego są sztucznymi zlepkami najrozmaitszych plemion, szczepów, osiedleń kolonizacyjnych i t.p. Trzy czwarte tego obrazu, który ma przeciętny człowiek zachodu o Polsce jako o "państwie narodowościowym" jest pochodzenia niemieckiego, bowiem Niemcy swoje tezy bardzo gruntownie i od bardzo dawna przygotowywali propagandowo.

Lecz w tej koncepcji niemieckiej bynajmniej nie chodziło już tylko o mniejszości w Polsce. Oni postawili twierdzenie, że i zasadniczy blok polski jest zlepkiem, jak zresztą według tych teorii, zlepkiem jest blok Francji i zlepkiem jest blok Wysp Brytyjskich. Na wiosnę przecież 1940 roku przygotowywali strukturę osobnych "gauów" dla Anglii, Walii i t.d.

KRUSZENIE TERYTORIUM POLSKIEGO

Padło hasło pierwsze: *rozbić Polskę na drobne cząstki etnograficzne!* Zaczęły się dziać rzeczy wręcz groteskowe, jeśli do tych krwawych czynności można zastosować takie określenie. Niemieckie władze okupacyjne zaczęły tworzyć osobne narody ze Ślązaków i Kaszubów. Ale co więcej, kazano być mikroskopijnymi narodami chłopom z okolicy Warszawy oraz chłopom z okolic Krakowa, a także Góralom z pod Zakopanego. Sądzę, że musiała powstać już sążnista półka w dużej szafie bibliotecznej z niemieckich "dzieł naukowych" traktujących z całą powagą /przynajmniej zewnętrzną/ o "narodzie" Górali. W r. 1940 do wschodniej części województwa lubelskiego zjechała naukowa ekspedycja niemiecka w składzie 25 profesorów wyższych uczelni berlińskich w poszukiwaniu narodu . . . Jadźwingów! Dla wyjaśnienia, ponieważ i wielu Polaków nie bardzo jest z tą malowniczą nazwą obeznanych, trzeba zaznaczyć, że z Jadźwingami czytelnik może się spotkać tylko w bardzo specjalnych książkach, mówiących o dziejach Europy środkowej w średniowieczu.

Powyższe zabiegi miały dać podstawę do wytyczenia kierunków terroru, a równocześnie miały dostarczyć łatwego /tak się Niemcom wydawało/ mechanizmu do t.zw. "terroru samoczynnego." Niemcy zrobili wszystko, co przestępca w takim wypadku zrobić może, aby rzucić wzajem na siebie tych wyszperanych kilkanaście "narodów." Niech się wzajemnie kłócą i wyrzynają! Taka była intencja w zakresie "terroru samoczynnego," ale w czasie tej wojny wielu intencjom niemieckim nie dane było dojść do fazy spełnienia. "Terror samoczynny" w Polsce spalił na panewce, jak mało który pomysł niemiecki. Do występowania przeciw Polakom udało się Niemcom przez pewien czas uzyskać ze wszystkich mniejszości tylko te grupy ukraińskie, które do czasów wojny stały w porozumieniu, na usługach i na żołdzie berlińskim. Lecz nawet i te grupy w ostatnich czasach, wobec zmieniającego się zbyt wyraźnie położenia międzynarodowego, zawróciły i dążą do ułożenia najściślejszej w przyszłości współpracy z Polską.

Niemcy ogłosili, że Polska stanowi bezkształtną masę. "*Voelkischer Beobachter*" w numerze z grudnia 1942 r. obwieścił, że "nastąpiło definitywne skreślenie Polski z grona narodów." Jeden zaś z profesorów niemieckich w Poznaniu napisał całą pracę na udowodnienie tezy, według której "z punktu widzenia rasowego i ogólnoludzkiego /!/ Polacy nie istnieją." Rzecz prosta, iż głoszenie takich tez nie oznacza, że Niemcy naprawdę tak myślą. Oznacza to jedynie, że w zamiarze zamordowania narodu tezy te stanowią jedno z narzędzi i że Niemcy *chcą* dopiero społeczeństwo polskie sprowadzić do stanu "bezkształtnej masy."

PRZECINANIE WIĘZÓW SPOŁECZNYCH

Służy temu celowi nie tylko usiłowanie poprzecinania wiązań etnograficznych. Atak niemiecki idzie równocześnie i w innej płaszczyźnie. W płaszczyźnie powiązań narodu jako grupy politycznej, społecznej, kulturalnej i gospodarczej. Diabelski alchemik bierze na stół operacyjny /w jakże wielu zbrodniach współdziała czynnie nauka niemiecka/ naród i śledzi bacznym wzrokiem zbrodniarza więzy, których istnienie czyni z masy żyjącej żywy twór kultury. Po dokonaniu najdokładniejszych i najbardziej naukowych badań wychodzi rozkaz uderzenia we wszystkie te więzy.

Musi więc być zniszczona przede wszystkim cała inteligencja. Ale nie tylko to, muszą być zniszczeni ludzie ze wszystkich związków, organizacji, instytucji, przedsiębiorstw, spółek, szkół, towarzystw religijnych i samorządowych. Lecz nie tylko zarządy tych związków. Również czynniejsze jednostki z pośród wszystkich członków.

Frank podnosi głowę z nad obliczeń:

—Pięć milionów — mówi.

—Więc pięć milionów — decyduje Hitler.

—Ponadto trzy i pół miliona Żydów — rachuje Frank.

—Ponadto sześć milionów Żydów — poprawia Hitler.

W tej samej chwili z *Reichskanzlei* wybiega Himmler, aby nadać pilne telegramy do gmachu dawnego polskiego Ministerstwa Oświaty w Warszawie. W cztery tygodnie później obóz koncentracyjny w Oświęcimiu powiększony zostaje już o teren sąsiedniej wsi Rajska i zamiast dotychczasowych trzech pieców krematoryjnych pracuje w Oświęcimiu pieców sześć.

Jeśli jest często mowa o realiźmie w podejmowaniu decyzji, to należy uznać, że Hitler może być uważany za szczyt realizmu naszych czasów. Istnieje w Niemczech pewne zjawisko z tego zakresu, które powinno być tu wymienione, z uwagi już nie tylko na sprawy polskie. Współczesny Niemiec patrzy na człowieka w sposób idealnie przyrodniczy, bez żadnych sentymentów i "obciążeń" humanitarnych. Współczesny Niemiec patrzy na człowieka i na życie ludzkie, jak na gniazdo owadów, które każdej chwili można rozdeptać z tą oczywiście poprawką, że doktryna "*Herrenvolku*" czyni z Niemca właściciela depczącej nogi, a deptanymi owadami wszystkich innych ludzi.

Na tle takiego widzenia świata powstała w Niemczech teoria, że *każdy związek ludzki, każde przekonanie człowieka, każdy wreszcie człowiek musi się rozkleić, jeśli zostanie odpowiednio naciśnięty.* Wszystko zależy od sposobu i siły nacisku. Z punktu widzenia takich przeświadczeń "rozklejenie" więc Polski, podcięcie wszystkich więzów cementujących naród wydało się rzeczą zupełnie możliwą do przeprowadzenia. Wprawdzie, wspominając swoje z Polakami poprzednie doświadczenia, zdawali sobie sprawę z tego, że trzeba będzie użyć środków nacisku bardzo drastycznych, ale zagadnienie tkwiło tylko w stopniu potrzebnego nacisku.

Wydaje się, że skompromitowanie się tej wspaniałej metody w Polsce jest jednym z bardziej gorzkich rozczarowań Hitlera w ciągu obecnej wojny. Bo jakżeż przedstawia się metoda, gdy nie daje rezultatu nacisk, który schodzi do linii ostatecznej, do linii śmierci?! Pozbawiana milionami warstw górnych, Polska ani rusz nie chce stać się "bezkształtną masą."

"PRZESĄDZANIE FAKTÓW"

Dalszym sposobem, który miał być użyty, była stosowana już poprzednio bardzo szeroko w samych Niemczech od r. 1933 zasada "przesądzania faktów." Gdy się coś reformuje — powiada współczesny teoretyk niemiecki — dając w miejsce dawniejszego nowe, to należy to tak robić, aby przy zapanowaniu innych warunków układ dawny nie mógł być już przywrócony. /Mówiąc nawiasem, w szerokim przeprowadzeniu tej zasady w samych Niemczech poczynając od r. 1933 tkwi główna trudność z urządzeniem i reedukacją Niemiec po wojnie/.

Nie wystarczy więc zamordować górną warstwę Polski, należy jeszcze zniszczyć jej dorastającą młodzież i przeszkodzić kształceniu się nowej. Nie wystarczy wyrysować na mapie "sklejankę" polską, ale trzeba ją jeszcze w terenie poobsadzać odpowiednią kolonizacją. Nie wystarczy wysiedlić bez odszkodowania Polaków z ich zagród i domów, trzeba jeszcze postarać się o to, aby wysiedlonych zatłuc, bezpośrednio lub pracą nad siły, żeby nie mogli kiedyś wrócić i odtworzyć z powrotem dawnego układu.

Przed pół rokiem Niemcy postanowili utworzyć na wschodzie Polski "etnograficzny pas bezpieczeństwa." W tym celu trzeba było wysiedlić, dla zrobienia miejsca osadnikom niemieckim, ponad milion ludności polskiej. Dotąd /do 1 maja 1943 r./ wysiedlono 120.000 Polaków z Lubelszczyzny i 100.000 z okręgu Białostockiego. Warto się przyjrzeć sposobom stosowanym przy wysiedlaniu.

Wyznaczoną wieś otaczają niespodziewanie oddziały Gestapo, żandarmerii i S.S. Przychodzi rozkaz, aby się wynosić z domu w ciągu pół godziny. Zabrać wolno tylko dwukilowy węzełek, nic więcej. Dla "przyśpieszenia" akcji z reguły zostaje rozstrzelanych po kilku ludzi.

Z poszczególnych wsi wysiedleńcy gnani są do t.zw. "obozów segregacyjnych." Tu, pod gołym niebem na grudniowym i lutowym mrozie, czekali czasem przez 24 godzin i więcej na spędzenie innych partii. Potem następowała segregacja. *Każdy członek rodziny był wysyłany gdzieindziej.* Młodsi mężczyźni i kobiety na roboty przymusowe. Jeśli w rodzinie było dwoje lub więcej ludzi tej samej kategorii, każdy jechał gdzieindziej, nie wiedząc nic o losie drugiego. Dla utrudnienia identyfikacji każdy robotnik przymusowy dostaje swój numer, który zastępuje nazwisko. Młodzież wysyłana jest do "obozów pracy dla młodzieży," celem "przeszkolenia." Starcy, kaleki i chorzy odstawiani są do najbliższego obozu koncentracyjnego, gdzie się ich natychmiast pozbawia życia w komorach gazowych.

Osobno wysyłane są dzieci. Po najdokładniejszym wyłączeniu słabych, których utrzymaniem obciążane są gminy wszystkich zakątków Polski, lub — jak ostatnio — które uśmiercane są w komorach gazowych, resztę w bydlęcych wagonach wywozi się w głąb Rzeszy.* Ze wszystkich rodzajów obozów koncentracyjnych najbardziej strzeżona jest tajemnica miejsc "obozów koncentracyjnych dla młodzieży" oraz t.zw. "zakładów wychowania niemieckiego" dla dzieci.

Nikt nie wie nic o dzieciach polskich, które w bardzo znacznej liczbie osadzono w tych zakładach, albo poprzydzielano poszczególnym rodzinom na wychowanie. Istnieje prawdopodobieństwo, że spisy z nazwiskami nie istnieją. Te tysiące drobin polskich mają utonąć w morzu niemieckim, mają zostać wychowane na Niemców, pod nazwiskami niemieckimi i mają wyrównać straty poniesione przez Niemców w tej wojnie. Całą sprawę tej osobliwej kradzieży ma pokryć tajemnica. Kto zna gatunek "patriotyzmu" niemieckiego, ten wie, że bez względu na to, czy w Niemczech będzie panował hitleryzm, czy Druga Republika wejmarska nie znajdzie się Niemiec, który by przed jakąkolwiek komisją aliancką przyznał się do posiadania polskiego dziecka.

Tak więc na terenie Polski działa w pełni zasada "przesądzania faktów" w tym dążeniu, aby nigdy, w żadnych warunkach nie mogły one wrócić do stanu pierwotnego.

DYGRESJA O NIEMIECKICH POETACH

O głęboką rozpacz przyprawia świadomość, że we wszystkich tych "totalnych" akcjach na terenie Polski biorą udział nie tylko oddziały partyjne czy policyjne, ale również wszystkie warstwy niemieckiej ludności cywilnej. Biorą udział nawet te zawody, które nauczyliśmy się uważać za humanistyczne i stojące ponad polityką. W Niemczech nie ma zawodów humanistycznych! Uczeni niemieccy jeżdżą i wskazują miejsca dla przyszłych uderzeń Gestapo, albo wykładają dla kandydatów na kierowników więzień i obozów koncentracyjnych. Artyści niemieccy "rewindykują sztukę niemiecką" po polskich domach. Poeci niemieccy w terenie polskim szczują na Polaków. A czynią to nie tylko pojedyncze jednostki. Uczeni, artyści i poeci jeżdżą masowo, ekipami po 30 sztuk. Do pomocy przy wysiedlaniu w Lubelszczyźnie i Białostockim przydzielono chłopców niemieckich od 13 do 17 lat z "*Hitler-Jugend*" i dziewcząt z "*Bund Deutscher Maedel.*" Według słów gubernatora i szefa Gestapo tego okręgu, Globocnika, niemiecka młodzież wykazała w tej pomocniczej akcji najwyższą dzielność i zaparcie się siebie.

ZABIĆ!

Lecz wszystkie dotąd wyliczone sposoby są jedynie sposobami podprowadzającymi: w każdym z tych działań przychodzi moment, kiedy trzeba zdecydować, co z wysortowanymi z narodu polskiego, na takiej czy innej zasadzie teoretycznej, Polakami ma się zrobić — zgermanizować?, przekupić?, steroryzować?, odosobnić?, czy zabić?

Decyzja niemiecka padła na ostatnią czynność — "zabić"!

I tu otwiera się wielki problem Polski okupowanej: *masowe morderstwo.* W Polsce z pewnego punktu widzenia trwa walka nie z Niemcami, ale z niemiecką śmiercią. Niemiec dla Polaka dziś już w znaczeniu zupełnie dosłownym jest — śmiercią. I nie polepsza tego stanu rzeczy żadna zmiana okoliczności wojennych; ten stan rzeczy panuje nieprzerwanie bez względu na to, czy było to na początku wojny, czy jest teraz, czy będzie za jeszcze parę miesięcy, kiedy Niemcy będą już w sposób zupełnie bezpośredni czuli stryczek klęski na szyi.

Jest bowiem kilka zagadnień w Europie, które Niemcy uważają dla siebie za zagadnienia ponadczasowe, za sprawy związane z korzeniami niemieckiego bytu, za problemy warunkujące los Niemiec taki, jak go oni sobie wyobrażają. Istnieje kamienny spis tych problemów-zadań niemieckich i każdy Niemiec wie, że ten spis kilku podstawowych niemieckich spraw jest bardziej zasadniczy, niż to, czy i tę jeszcze wojnę przyjdzie im przegrać, a wygrać dopiero za trzecim razem, kiedy "*Blitzkrieg*" zaskoczeń będzie szybszy w rozegraniu od zdolności organizacyjnej reszty świata.

Na tym niemieckim kamiennym spisie zlikwidowanie spraw, które obejmują naród polski, państwo polskie, kulturę polską, polski organizm gospodarczy, polską siłę bojową — jest zadaniem jednym z pierwszych. U samego źródła koncepcji państwa niemieckiego tkwi zagadnienie likwidacji Polski. Oni wiedzieli zawsze i wiedzą znowu, że jeśli Berlin ma istotnie stać się środkiem świata, ani w Warszawie ani w Poznaniu, ani w Krakowie, ani w Gdańsku, ani w Wilnie, ani we Lwowie, ani w Łucku — Polaków być nie może. Oto istota tego, co się różnymi słowami nazywa "tysiącletnim sporem polsko-niemieckim."

Żaden inny kraj przed rozpoczęciem wojny nie był tak opracowany przez Niemców, jak Polska. Gdyby Rosja była choć w dziesiątej części tak opracowana przed działaniami wojennymi jak Polska, być może nie było by dwóch niemieckich zim na froncie wschodnim. Jeszcze i tym, że stanowią wiekową niemiecką obsesję, przysłużyli się Polacy Rosji. Opracowano Polskę do ostatniej kropki politycznie, gospodarczo, kulturalnie. Przychodzący okupant miał gotowe pieczątki pocztowe z niemieckimi nazwami polskich miasteczek, oraz spis dzieł sztuki, które należy natychmiast wywieźć. Miał również spis ludzi, których należy zabić. Przez trzy i pół roku spisy te znakomicie uzupełnił.

Bardzo szybko, bo już w październiku 1939 r. granice podziałów Polski zostały pociągnięte i szczelnie pozamykane, również od strony Rzeszy. Polska nie otrzymała żadnej znanej w postępowaniu okupacyjnym formy prawnej. Niemcy postanowili, że to będzie wyjątek, choć nie mogli się zdecydować jak ten wyjątek nazwać. Nazywali go rozmaitymi czasy rozmaicie: "*Nebenland,*" "*Reichsinteressengebiet,*" "*Vorfeld,*" "*Pole doświadczalne Rzeszy Wielkoniemieckiej,*" "*Machtbereich des deutschen Reiches,*" albo "*Arbeitsbereich Grossdeutchlands,*" oraz wielu innymi nazwami, przez które przebija nie tylko okrucieństwo, ale i niespotykana megalomania. Megalomania, zawrót głowy, co prawda, na kredyt, bo przed ukończeniem wojny.

Tymi wszystkimi nazwami Niemcy otoczyli Polskę, jak zasiekami z drutów kolczastych i zaczęli wewnąrz tego ogrodzenia swój straszny taniec.

STANISŁAW ZIELIŃSKI

* por. "Ludzie z innego świata pojęć" w nr. 36; "Plan niemiecki wobec Polski" w nr. 37 "Polski Walczącej." Niniejszy artykuł zamyka cykl.

* Dnia 9 stycznia 43 r. tłum kobiet polskich dotarł do jednego z pociągów, wiozących dzieci polskie do Rzeszy przez dworzec warszawski. Jeden wagon otwarto przemocą, zanim Niemcy rozpędzili tłum karabinami maszynowymi. W zaplombowanym wagonie jechało około 70 dzieci w niesłychanej ciasnocie, w brudzie i wystraszeniu. Ten otwarty wagon przypominał pudło, w którym przewożony jest narybek dla zagospodarowania stawów. Było w tym jakieś przerażające okrucieństwo typu już nieludzkiego.

Internowani żołnierze polscy w dolinie Rodanu

Polskie kartofle w Montanie

V.

OBÓZ W CRANS SUR SIERRE*

Kartofel cieszył się zawsze podziwem i szacunkiem, odkąd Kolumb odkrył go wraz z Ameryką i sprowadził do Europy. Już w czasach pokoju kartofel był niezastąpionym środkiem wypełniania ludzkich /i nie tylko ludzkich/ żołądków. Cóż zaś mówić o okresie wojny! W czasie wojny rola kartofla, jako środka wyżywienia i jako surowca przemysłowego, wzrasta niepomiernie. Gdy zboża mało, gdy dzienne racje chleba nawet w krajach rolniczych zmniejszają się do nędznych kilku kęsów, ku kartoflom łypią pożądliwe oczy ludzi głodnych.

Kartofel w czasie wojny został jeszcze bardziej upowszechniony — jeśli tak można powiedzieć — "zmobilizowany." Rzadko już pojawia się na stole w szeleszczącej szacie francuskich "*pommes frîtes*," lub choćby w postaci polskich ziemniaków, obficie podlanych wybornym, świeżym masłem. Najczęściej przybywa "w mundurze"; z cywilnego stał się wojskowym. I w tym swoim szarym mundurze stał się przedmiotem pożądania dla ust, uwielbienia dla oczu, poezji dla serca . . .

Poezji?! Czy nie za wiele powiedziano? Wcale nie! W Szwajcarii jeszcze przed wybuchem wojny pola kartoflane były motywem poetycznych natchnień. Pisał więc Maurice Zermatten w swoich pięknych szkicach literackich, poświęconych Valais:

"*Kartofel — ta chłopka wyrosła pięknie . . .*"

W czasie wojny nie poezja, ale zwykła proza dnia powszedniego sprawiła, że pola kartoflane poczęły rozszerzać się w całej Szwajcarii; wdarły się one nawet do parków i ogrodów kwietnych, niwecząc piękne, kultywowane od lat, angielskie trawniki. /Trzeba naturalnie dodać, że zniszczenia te nie są w najmniejszym stopniu wyrazem nieprzyjaznych uczuć pod adresem Anglii!/

* * *

Jadę obejrzeć pola kartoflane uprawiane rękami polskich żołnierzy w Crans sur Sierre. Nie ma na razie czasu na zwiedzanie małego miasteczka Sierre, położonego malowniczo nad Rodanem, pośród winnic i wysokich gór. Obiecuję sobie, dopiero w drodze powrotnej wypić tu co najmniej "*trois deci*" miejscowego wina, zwanego "*Soleil de Sierre.*" W Sierre wszystko zaczyna się od słońca i kończy się na słońcu. Nawet flaga miejska prezentuje żółte słońce na niebieskim tle. Na razie mam tylko 7 minut czasu na przejście z dworca do pobliskiej stacyjki kolejki wyciągowej, t.zw. "*funiculaire*," która ma mnie zawieźć na Montana-Vermala, znanej szwajcarskiej miejscowości uzdrowiskowej, z którą Crans zlewa się niemal w jedną całość.

Sierre znajduje się na poziomie 590 metrów, Montana i Crans — 1.500 m ponad poziomem morza. Kolejka pnie się wolno po stromym zboczu wzgórza. W połowie drogi czuję już zmianę ciśnienia powietrza i szum w uszach, a gdy na małym przystanku każą mi zmienić wagon — przypominają mi się Myślenieckie Turnie i kolejka linowa na Kasprowy Wierch. Dlaczego, gdy stykam się z górami szwajcarskimi, ciągle muszą mi się przypominać polskie Tatry!

Pejzaż jest zresztą całkiem odmienny. W dole, jakby w głębokiej kotlinie, leży Sierre. Jego zabudowania wyglądają, jak drobne porozrzucane kamyczki, nad którymi, po przeciwległej stronie, wznosi się potężna ściana gór. Trzeba podnieść wzrok o dobre 60° w górę, aby ogarnąć piękną panoramę ośnieżonych szczytów alpejskich, spośród których wynurza się wspaniały kontur Weisshornu. Gdzieś za nim leżą niewidoczne niestety szczyty Matterhornu i Monte Rosa. Wzgórze, którym wspina się kolejka, tonie w zieleni zarośli. Co chwila otwiera się widok na łąki, pola i pastwiska, wśród których leżą pojedyncze domki i osiedla.

Powietrze staje się coraz bardziej czyste i rzeźkie. Montana jest uzdrowiskiem o ustalonej sławie. Już choćby porozmieszczane w wagonie kolejki reklamy świadczą o charakterze tej miejscowości, odwiedzanej przed wojną tak licznie przez publiczność międzynarodową.

Wagon znów mija niewielkie osiedla, porozrzucane we wgłębieniach terenowych, jakby w płytkich nieckach. Domki stoją przeważnie pojedyńczo. Są małe i skromne. Góry po tej stronie wydawały się z dołu dzikie i zalesione. Teraz widać, że są zagospodarowane i zamieszkałe.

Jest czerwiec i w Montanie nie rozpoczął się jeszcze właściwy sezon. Gdy przechodzę przez miasteczko, w którym nie brak pięknych sklepów, przeznaczonych dla zamożnej publiczności, spotyka mnie na wstępie miła niespodzianka. Pośrodku okna wystawowego największej miejscowej "*librairie*" ustawiony pionowo Orzeł Polski w obramowaniu książek o polskim temacie, wydanych w językach francuskim i niemieckim. Jest więc "*Chopin*" — Fr. Lista, kilka innych książek o wielkim naszym kompozytorze, "*Louis XIV et Madame Maria Leszczyńska*" i inne. Przed Orłem rozłożone duże wydawnictwo ilustrowane "*Weltgeschehen*" — rozdział historii politycznej Polski poprzedzający bezpośrednio wybuch wojny.

Okazuje się, że właściciel księgarni jest obywatelem angielskim i on to tak udekorował okna wystawowe swego sklepu. W Montanie spotkać można zresztą więcej wspomnień angielskich, a nawet paru oryginalnych Anglików — kuracjuszów, przybyłych tu jeszcze przed wojną. Montana ze swym cudownym górskim powietrzem, przepojonym oddechem lasów, jest jakby wielkim balkonem do leżakowania dla osób chorych, lub zagrożonych chorobą płuc. Jeden z najnowszych, nowoczesnych pensjonatów nazywa się "*British Sanatorium.*"

Tuż za Montaną, na szerokiej "*plateau*," leży Crans. Mała wioska rozrosła się w ostatnich czasach, porosła w pensjonaty i dzielnice sklepów i kawiarń, rywalizując dziś z Montaną dzięki bliższej styczności z lasem i przepięknym spacerem. Powietrze tu rzeczywiście wspaniałe. Wszędzie pachnie alpejskimi łąkami i lasem. Idąc drogą i wdychając w płuca to ożywcze górskie powietrze, często odwracam oczy ku dalekim szczytom alpejskim, między którymi srebrzy się swą białą szatą Weisshorn. Na obszernym zboczu, pochylającym się ku jezioru dostrzegam szerokie płaty zoranej ziemi i nie ma wątpliwości, że zbliżam się do miejsca pracy naszych żołnierzy.

Spotykam ich na skraju zoranego pola, brnąc ku niemu łąką na przełaj. Jest ich trzech, ubranych w te same, jak wszędzie, mundury khaki, w zrudziałych od słońca bronzowych beretach z polskimi orzełkami. Dwa dobre konie ciągną niewielki wózek-platformę. Ludzie pochylają się, wybierają z pastwiska kamienie i rzucają je na wóz.

—Czołem pracy! Ładne miejsce wybraliście.

—Nienajgorsze, ale to już koniec.

—Jakto koniec?

—A no, zrobiliśmy co kazano i jutro na dół, do Granges.

—A dużo zrobiliście?

—Dwanaście hektarów zaorane i zasadzone kartoflami w 15 dni.

—Dużo ludzi?

—Trzydziestu sześciu z porucznikiem, kucharzami i barakowym.

—Nie opłaci się tak pracować — mówi strzelec o sympatycznej, czerstwej twarzy rolnika, ze smutkiem ogarniając przepiękny krajobraz. — Zrobili swoje i teraz precz, do karczunku.

—Dobrze pracować — protestuję — zawsze się opłaci. Choćby dla własnego zadowolenia z porządnie wykonanej roboty. Widzę, że sobie nie krzywdzicie? A gdzie jest reszta? — pytam.

—W dole, kończą oranie pod jeziorem. Porucznik siedzi tam obok.

Wytężam wzrok, nieprzyzwyczajony do orientowania się w górskich odległościach i dostrzegam wreszcie we wskazanym kierunku jasny mundur ppor. Kazimierza R., ledwie widoczny na tle zoranej ziemi.

Ppor. R. jest komendantem oddziału roboczego, przysłanego do Crans i wchodzącego ewidencyjnie w skład obozu pracy w Granges près Sion. Ludzie przybyli w sobotę, 23 maja, w przeddzień Zielonych Świąt. Zastali postawiony dla nich barak i szwajcarskiego kierownika uprawy, przysłanego z Zurychu, który nalegał na niezwłoczne podjęcie pracy. Zaczęto w sam dzień Zielonych Świąt, za który zapłacono podwójnie.

—Dlaczego ten pośpiech?

—Praca, którą wykonujemy — objaśnia mnie ppor. R. — to zaorywanie pastwisk i sadzenie kartofli dla miasta Zurychu. Przysłano nas tu dość późno i trzeba się było śpieszyć z sadzeniem. Szwajcarzy mocno naciskali. No — i zrobiło się. Jeśli interesuje pana praca, zobaczymy na miejscu.

Oczywiście, że mnie interesuje. W Crans de Sierre mamy do czynienia z typem pracy polegającej na zamianie pastwisk i łąk górskich na pola uprawne. Grunt, stanowiący własność gminną, zostaje odstąpiony pod uprawę za czynszem dzierżawnym na rzecz instytucji, wykonujących plan dr. Wahlena. W danym wypadku dla wykonania wyznaczonej mu kwoty "*Mehranbau*," musi szukać ziemi do obróbki w innych kantonach.

Przypatruję się przede wszystkim samej technice pracy. Pastwisko orze pług, ciągniony przez traktor, obsługiwany przez dwóch ludzi /Szwajcarów/. Pług wraz z odwalanymi skibami ziemi wyrzuca mnóstwo ukrytych w niej kamieni. Patrząc na porośnięte trawą pastwisko, nikt by się nie spodziewał, że pod swą zieloną powłoką ukrywa tyle kamieni. Za pługiem postępują żołnierze i wybierają kamienie, które wywozi się poza pole.

Po zaoraniu pastwiska i wybraniu kamieni, zjawia się, ciągniona również przez traktor, brona-talerzówka; jest ona mocno obciążona kamieniami i dźwiga w dodatku dwóch ludzi. Pole musi być równo wygładzone i przygotowane pod uprawę. Siewnikami i ręcznie rozrzuca się następnie nawóz sztuczny, stosowany w Crans de Sierre, jako kombinacja czterech różnych nawozów azotowych i potasowych. Przychodzą z kolei pługi trójskibowe lub pojedyńcze z zaprzęgiem konnym i drążą brózdy, w które ludzie sadzą kartofle w odstępach 50—60 cm.

Po zasadzeniu kartofle zasypywane są małymi płużkami i ręcznie — motykami. Tyralierka żołnierzy idzie wreszcie po polu i kontroluje, czy kartofle nie leżą jeszcze gdziekolwiek na wierzchu. Praca musi być wykonana dobrze i sumiennie, aby wydała pożądany rezultat, jest ona bowiem, w tych warunkach i przy użyciu znacznej ilości drogich nawozów, bardzo kosztowna. Opisany przebieg sadzenia kartofli jest regułą; tylko dwa pólka uprawiono sadzonką mechaniczną.

—A skąd pochodzą kartofle — sadzeniaki?

—Kupowane są w Niemczech po 34 — 36 fr. za 100 kg., a pochodzą podobno z Czechosłowacji i z Polski.

—Z Polski?

—Tak mówią.

Nie mogę się oprzeć zdumieniu. Cóż to za dziwne losy spotykają Polaków w tej wojnie. Któż by przypuszczał, że tu, na wysokości 1.500 m, w pięknej klimatycznej miejscowości, na stokach górskich koło Golfsee, gdzie Anglicy przyjeżdżali uprawiać swą narodową grę, ręce polskie uprawiać będą polskie kartofle. Trzydziestu sześciu żołnierzy polskich w 15 dni /po odliczeniu dwóch niedziel, które pozostawiono im wolne w uznaniu wydajnej pracy/ przy pomocy traktora i 6 par koni przemieniło na pola uprawne i zasadziło kartoflami 12 ha górskich pastwisk i łąk. Stanowczo — Maurice Zermatten winien tu przyjechać i napisać nowy poemat o polskich kartoflach pod Montaną . . .

* * *

Zbliża się godz. 18 wieczór i żołnierze schodzą z pola do obozu na kolację. Wstają o 6 rano, o 6,30 jedzą śniadanie i o 7 maszerują do pracy w grupach. Od 12 — 13 przerwa obiadowa, po czym znów praca do godz. 18. Ten rozkład zajęć jest mniej więcej jednakowy we wszystkich obozach pracy.

O godz. 18,30 komendant oddziału przeprowadza apel, zakończony wspólną modlitwą, po czym do 10 żołnierze mają czas wolny, który spędzają na pisaniu listów, czytaniu książek, najczęściej jednak w kawiarniach, gdzie wydają swoje zarobione 3 fr. dziennie i gdzie cieszą się dużą sympatią miejscowych kuracjuszek.

—Jest trzech żołnierzy szwajcarskich, z których jeden pełni funkcje zastępcy *fouriera* z Granges, nie mają jednak wiele do roboty, gdyż nasi żołnierze zachowują się spokojnie i przyzwoicie. W sobotę, od południa i w niedzielę, mają czas wolny od pracy. Początkowo Szwajcarzy domagali się, żeby pracować i w święta, odstąpiono jednak od tego żądania, widząc, że praca postępuje szybko. W niedzielę można nawet za przepustką zjeżdżać do Sierre, ale nikt z tego przywileju nie korzysta. W jednym z sanatoriów Montany mieszka Polak, ksiądz Walczak, chory na płuca, który za zgodą miejscowego proboszcza odprawia co niedzielę Mszę św. dla naszych żołnierzy.

Obóz składa się z jednego dużego baraku, odsuniętego nieco od drogi i ustawionego wśród drzew świerkowych. Barak ten jest wyjątkowo duży i ze względu na nierówność terenu, ustawiony na podbudowie z pali. Do wejścia prowadzą parostopniowe schody. Jak niemal wszystkie baraki obozowe w Szwajcarii, i ten barak posiada oddzieloną od części sypialnej salkę ze stołami i ławami dla spożywania posiłków. Salka służyć też może za małą świetlicę.

Zaraz po przyjeździe wynajęto i ustawiono radio, YMCA dostarczyła polską bibliotekę obozową, a szwajcarski kierownik Sanatorium Wojskowego w Montanie, mjr. W. z własnej inicjatywy przysłał szereg pism ilustrowanych i książek w języku francuskim i niemieckim, darząc obóz polski opieką i życzliwością.

Obok baraku znajduje się kuchnia, zatrudniająca dwóch żołnierzy. Porządkowym w baraku jest strz. z cenzusem, urzędnik Banku Gospodarstwa Krajowego z Gdyni. Kucharze, pracujący dla obozu i nie mogący zarabiać pracą w polu, otrzymują rekompensatę z t.zw. kasy kompensacyjnej. Kasy takie wprowadzono we wszystkich obozach. Żołnierze pracujący płacą dziennie po 10 ctm. i z utworzonego w ten sposób funduszu wyrównywuje się wynagrodzenie żołnierzy pracujących w administracji obozu. Na jedzenie w Crans nikt się nie skarży — kucharz polski w tym wypadku jest fachowcem i spełnia dobrze swe obowiązki.

W baraku spotykam szwajcarskiego kierownika uprawy p. W. Mówi, że jest bardzo zadowolony z pracy i że żołnierze polscy ukończyli robotę wcześniej, aniżeli się spodziewał. Z rozmowy dowiaduję się, że p. W. jest przedstawicielem towarzystwa pod nazwą "*Schweizerische Vereinigung für Innenkolonisation*," które w ramach planu dr. Wahlena i na mocy umowy z miastem Zurychem prowadzi na rzecz miasta uprawę kartofli w Crans. Towarzystwo to jest wielką instytucją przemysłowo-handlową, prowadzącą podobne prace w wielu kantonach Szwajcarii, m.in. w Tessinie, Thurgau, koło Bazylei. Pan W. nie zdradza ochoty bliższego wyjaśniania interesujących mnie szczegółów działalności Towarzystwa i umowy z miastem; nie orientuje się może w tej sprawie jako technik zaangażowany do wykonania konkretnej roboty, a może po prostu nie chce mówić o tajemnicach handlowych. Trudno. Postaram się zbadać tę sprawę w innej drodze. Skoro praca wykonywana jest dla Zurychu, to kto jak kto, ale "*Neue Zürcher Zeitung*" na pewno coś o tym kiedyś musiała napisać.

Na razie muszę się żegnać z rodakami sadzącymi polskie kartofle pod Montaną dla Zurychu, gdyż ostatni "*funiculaire*" zjeżdża wkrótce po kolacji. Żegnam się z żalem. Idąc na stację z ppor. R. wymieniamy wiadomości o wspólnych znajomych z Polski, mówimy o kraju i o wojnie.

Kiedyż ujrzymy znów pola kartoflane na własnej, polskiej ziemi!?

* * *

Nie znalazłem w "*Neue Zürcher Zeitung*" z ostatnich tygodni żadnej notatki dotyczącej Montany, ale pod datą 23.IV.1942 odszukałem sprawozdanie Rady Miejskiej o udziale miasta Zurychu w "*Mehranbauwerk*," które rzuciło mi nieco światła na organizację i sposób wykonywania dzieła walki o samowystarczalność żywnościową przez wielkie miasta szwajcarskie.

W roku 1941 — stwierdza ten dokument — m. Zurych uprawiło 414 ha nowych gruntów, przy nałożonym nań obowiązku zwiększania uprawy rolnej o 390 ha. Obowiązek wykonany został zatem z nadwyżką. Na rok 1942 Związek Szwajcarski zobowiązał miasto Zurych do rozszerzenia powierzchni uprawnej o dalsze 150 ha. Urzeczywistnienie tego zadania natrafiło jednak na poważne trudności, w okręgu miasta nie znajdowało ono już bowiem więcej stosownej do uprawy ziemi. W tych warunkach Rada Miejska zatwierdziła wniosek dyrektora gospodarki narodowej z połowy lutego 1942 r. o podjęcie uprawy 100 do 300 ha ziemi w innych kantonach Szwajcarii.

W porozumieniu z kantonalnym urzędem gospodarki wojennej i stowarzyszeniem "*Schweizerische Vereinigung für Innenkolonisation*" pozyskano przede wszystkim teren dla przeprowadzenia melioracji i uprawy w kantonie Nidwalden w t.zw. "*Drachenried.*"* Ogólny obszar melioracyjny "*Drachenried*" wynosi 180 ha, niestety jednak ostra zima opóźniła roboty, tak, że Rada Miejska przewidywała uprawienie na tym terenie w r. 1942 najwyżej 50 ha. Jako uprawy — brano pod uwagę kartofle i jęczmień, zakładając z góry, że w pierwszym roku po melioracji nie można będzie liczyć na obfite zbiory. Poza udziałem Związku w wysokości 50% kanton Zurych zapewnił 10% pokrycia kosztów melioracyjnych. Resztę musi pokryć miasto Zurych.

Miasto Zurych preliminowało na pokrycie swego udziału w "*Mehranbau*" ni mniej ni więcej, tylko 500.000 fr. w r. 1942. W tych warunkach oczywiście ważna stała się kwestia robocizny, która poważnie wpływa na takie czy inne ukształtowanie się kosztu przygotowywanego pod uprawę i uprawianego każdego nowego ha ziemi.

Ta kwestia wiąże się z pracą internowanych żołnierzy polskich. Gdy szwajcarski robotnik rolny zarabiał w połowie 1942 r. około 7 fr. dziennie gotówką, plus mieszkanie i utrzymanie, wynagrodzenie polskiego internowanego żołnierza, zatrudnionego przy pracach rolniczych w Valais wynosiło 3 fr. dziennie /oprócz utrzymania, zakwaterowania i "*Taschengeldu*," przysługującego mu, jako internowanemu/. Pracujący w Szwajcarii żołnierze polscy są więc nie tylko Szwajcarii potrzebni, uzupełniając brak rąk do pracy, lecz również stanowią znacznie tańszą siłę roboczą, co ma szczególne znaczenie właśnie w tych wypadkach, gdy praca wykonywana jest na rzecz firm prywatnych, lub szwajcarskich instytucji publicznych.

Mówiąc o przeprowadzeniu planu uprawy, cytowane sprawozdanie Rady Miejskiej m. Zurychu podkreśla, że "do pracy ręcznej będą musiały być pozyskane zewnętrzne siły robocze." Do uprawy kartofli dla Zurychu na górskich zboczach Crans sur Sierre, podjętej bardzo późno wobec trudności w wykonaniu wyznaczonego miastu planu na innych zakontraktowanych terenach /we wspomnianym "*Drachenried*" kantonu Nidwalden/, pozyskano za pośrednictwem Komisariatu dla Spraw Internowania w Bernie, żołnierzy polskich.

I wykonali oni powierzone im zadanie sprawnie, szybko i tanio.

JAN JANUSZ

---

* Por. część pierwszą: "Gdzie woda zamieniła się w wino" druk. w nr. 29, część drugą: "Polska praca na obcej ziemi" druk. w nr. 30, część trzecią: "Siekiera i szpadel zamiast karabina" druk. w nr. 32, "Na piaskach szwajcarskiego Tobruku" druk. w nr. 33 "Polski Walczącej" z b.r.

* Pracują tu również internowani Polacy.

Junacy przyjechali do Anglii





"... I osunąwszy się na kolana, jął sędziwy Brytyjczyk Junakowi mozolnie ciżmy z nóg zezuwać ..." — takim chyba językiem należało by opisać scenę, jaka miała miejsce niedawno na jednej ze stacji lotniczych, *somewhere in England.* Dwudziestu oficerów R.A.F.'u oczekiwało na przybycie pierwszego transportu Junaków polskich ze Środkowego Wschodu; wreszcie, po północy już, zajechały ciężarówki, zaroiło się w sali jadalnej od chłopców. Przybysze byli opaleni, przeważnie bardzo drobni i zmęczeni; tak bardzo zmęczeni, że nawet nie okazywali entuzjazmu dla ciastek, gorącego kakao i sandwiczy, które, gorliwie wypełniając swe obowiązki gospodarzy, podsuwali im oficerowie brytyjscy.

Po kolacji trzeba było dopełnić jeszcze dalszych formalności: zgodnie z przepisami Jego Królewskiej Mości Junacy, jako personel wojskowy z zagranicy, musieli natychmiast po przyjeździe na stację wykąpać się i oddać do dezynfekcji koszulki harcerskie i parciane porcięta, w których przyjechali; pierwszą noc na Ziemi Brytyjskiej mieli już przespać w fasowanych, R.A.F.-owskich pyjamach.

Wtedy to właśnie miała miejsce wspomniana scena. Jeden z Junaków długo i bezskutecznie borykał się ze sznurowadłami, na których było widocznie za dużo węzłów; męczył się biedak ogromnie, jasną głową ze znużenia kiwając, aż wreszcie podszedł do niego ów oficer brytyjski i zapomniawszy o swych paskach na rękawie, o włosie siwym i wysokiej godności, "*Let me help you, sonny*" — powiedział i klęknąwszy przed chłopcem, ostatecznie wyzwolił Junaka z butów.

Taki to panuje nastrój i taka atmosfera na stacji lotniczej, gdzie wczoraj po raz pierwszy zobaczyłam Junaków. Stacja to piękna wyjątkowo, jedna z najlepszych brytyjskich szkół wojskowych jeszcze z przedwojennych czasów, szkoła dla przyszłych mechaników R.A.F.'u. Aż się serce raduje, że Junacy nasi w takich właśnie warunkach spędzą resztę swej tułaczki na obczyźnie. Koszary żołnierskie, ale wygodnie urządzone, sale wykładowe obszerne i jasne, hala gimnastyczna i nawet własna kaplica katolicka. A ponadto park piękny i stary, wielkie tereny sportowe, place do koszykówki, siatkówki, piłki nożnej i t.d., place tennisowe /rakiet dostarcza szkoła bezpłatnie/, pływalnia i nawet własne kino.

Major W., Dowódca Polskiej Szkoły Małoletnich Lotnictwa /tak się bowiem nazywa polski dywizjon przy R.A.F. *Apprentice Wing*/, opowiada mi z zapałem o planach i programie szkoły. Wprawdzie istnieje już podobna szkoła dla Junaków w Egipcie, jednak na terenie Anglii jest ona pierwszą w swym rodzaju próbą. Ma za zadanie nie tylko przygotowanie przyszłego personelu ziemnego dla Lotnictwa Polskiego; jest komórką, która jako już zorganizowana całość zostanie natychmiast po wojnie przeniesiona do Polski; zaś jeżeli chodzi o jej obecnych wychowanków, to da im w każdym razie pewny i potrzebny w Kraju zawód.

Program szkoły oparty będzie na programie angielskim, obejmującym przedmioty ogólne: z zakresu mechaniki, techniki, radiotelegrafii, uzbrojenia, łączności, nauki o częściach samolotu, utrzymania silników i t.d., oraz wychowania fizycznego i sportów. Zanim jednak zacznie się normalny kurs szkolny, przez trzy miesiące Junacy mieć będą wykłady ogólnokształcące dla uzupełnienia ewentualnych luk i dla wyrównania poziomu. Większość chłopców chodziła do szkoły powszechnej na Środkowym Wschodzie, wszyscy mają ukończone 6 klas, tak więc pierwszy wyłom — powrót do książki po długiej przerwie — został już zrobiony. Wykładowcami w szkole będą profesorowie polscy, a dopiero po opanowaniu przez uczniów języka angielskiego, niektóre przedmioty przejmą Anglicy.

Na wielkim dziedzińcu otoczonym budynkami koszar ćwiczą się uczniowie angielscy. — "*And here are the Polish boys*" — powiada Anglik, *Squadron Leader,* oprowadzający mnie po stacji. Oddział chłopców ma obok ćwiczenia przeciw-gazowe. Czekam cierpliwie końca; wreszcie z pod masek ukazują się twarze — rumiane i okrągłe, ale jakże bardzo drobne i dziecinne!

Ile oni mają lat? Od 15-tu do 17-tu, przepisowy wiek w szkole. "*When we first saw them* — mówi mój przewodnik — *we thought the Poles were trying to pull fast one over us!*" Wszystkie przygotowane mundury trzeba było skracać i zwężać; koszul R.A.F.-owskich w ogóle nie dało się dopasować, tak że ostatecznie ubrano Junaków w garderobę W.A.A.F.'ek — *small size!*

W tych warunkach nie można się dziwić władzom angielskim, że były dość zaskoczone wiekiem Junaków podanym w oficjalnych wykazach, zwłaszcza, o ile próbowały porównywać ich z uczniami angielskimi. Anglicy, to smukli, wysportowani młodzi ludzie, nasi chłopcy — to wzrostem niemal dzieci, tyle tylko, że każdy już w ramionach szeroki, każdy ma muskuły nad wiek rozwinięte, widać na nich pracę fizyczną ciężką i ponad siły, lata niedożywienia czy wręcz głodu. Nie mniej, niektóre twarze junaków są zastanawiająco dziecinne. Dobrze się może stało, że ostatecznie wątpliwości na temat ich wieku zostały usunięte drogą oficjalną — komisja dentystyczna R.A.F.'u zbadawszy zęby Junaków stwierdziła, że podane w wykazach lata są *correct.*

Junacy tymczasem spacerują po stacji, grają w piłkę nożną w parku i wcale sobie nie krzywdują. Dzieje im się przecież dzisiaj całkiem dobrze. Nie mówię tu tylko o stronie fizycznej, o tym jak wielki nacisk kładą ich obecni wychowawcy na zapewnienie im jak najnormalniejszych i najlepszych warunków rozwoju /n.p. wydano specjalne instrukcje, ażeby zachęcać *Polish boys* do jedzenia podwójnych porcji; liczy się, że forsowne odżywianie i specjalnie pod kierunkiem lekarzy i fachowców wychowania fizycznego opracowany program sportowy i gimnastyczny spowodują tak szybki rozwój fizyczny, że za trzy miesiące Junacy będą już potrzebowali nowych mundurów; na razie wydano im tylko po jednym, zamiast przepisowych dwóch/.

Do Anglii płynęli z transportem żołnierzy alianckich, przeważnie Brytyjczyków i Amerykanów. Wprawdzie kontakt osobisty był utrudniony, bo Junacy nie zdążyli się jeszcze nauczyć po angielsku, jednak w krótkim czasie stali się faworytami transportu i na pożegnanie każdy niemal dostał jakiś prezent, pamiątkę od dorosłego "Alianta" — złoty zegarek, wieczne pióro, czy zwinięty banknot dolarowy.

Krawiec szkolny, poczciwy prowincjonalny Anglik, na którego spadł ciężar przerobienia kilkuset mundurów, pracował dzień i noc w pocie czoła, żeby jak najprędzej wszystko było dla Junaków gotowe. Gdy w ostatniej chwili dowiedział się, że na stacji nie ma spinek do kołnierzyków i *Polish boys* będą musieli czekać jeszcze co najmniej dwa dni, zanim sprowadzi się je z magazynów R.A.F.'u, wsiadł w pociąg, pojechał do dość odległego miasta, z własnej kieszeni kupił kilkaset spinek i tego samego dnia Junacy paradowali po stacji w pełnym umundurowaniu! Dodać należy, że dopiero po otrzymaniu przyrzeczenia, że pieniądze te nie zostaną potrącone z żołdu Junaków zgodził się Anglik przyjąć od Polskiego Dowódcy Szkoły zwrot swych wydatków.

Angielski dowódca R.A.F. *Apprentice Wing,* w którego skład wchodzi Szkoła polska, opowiada mi swoje bardzo charakterystyczne obserwacje. Przechodząc jednego dnia przez park zobaczył gromadkę Junaków grającą w piłkę nożną. Nie chcąc im przeszkadzać, stanął tylko i zdaleka im się przyglądając zauważył, że gra ich była bardzo zdyscyplinowana, bez *foul'ów* czy kłótni. Zaciekawiony, wyjrzał z za drzewa, żeby zobaczyć, kto prowadzi grę. Okazało się, chłopcy grali sami, bez sędziego — "*I thought that was pretty good* — mówi Anglik — *they are a fine lot, those boys!*"

Nie ulega wątpliwości, że Junacy trzymają fason na stacji. Nie wiem, ile w tym jest dyscypliny wojskowej nabytej w przeszło półtorarocznej służbie na Środkowym Wschodzie, a ile ambicji. Faktem jest, że ogromnie przyjemnie usłyszeć taki komplement od starego pedagoga i przedstawiciela narodu, który sądzi ludzi według ich manier na boisku sportowym.

Wchodzimy do baraków junaczych. W sali sypialnej jeden chłopak czyści buty, inny porządkuje w szafie, jeszcze inny wyciąga z pod materaca spodnie i z dumą się im przygląda. Pod oknem jasnowłosy Junak wygrywa na harmonii /którą, jak się później dowiedziałam, kupił od żołnierza czeskiego na statku/. Na wejście nasze całe towarzystwo zrywa się na nogi, a służbowy, chłopaczyna szczupły i z nich wszystkich chyba najmniejszy, pręży się przed *Squadron Leader'em* i jednym tchem recytuje. — "Junak Sinek Kazimierz melduje stan sali ... obecnych ... chorych ... nieobecnych ..." *Squadron Leader* z powagą przykłada dłoń do czoła. — "*Thank you* — mówi — *I am very glad to hear that.*" Potem nachyla się do mnie: — "*What was it all about?*"

W pięknej pływalni szkolnej, gdzie grupa Junaków uczy się właśnie *crawl'a,* przybycie moje wywołuje niesłychane zamieszanie. Okazuje się, że fasowany ekwipunek R.A.F.-owski nie zawiera kostiumów kąpielowych, a chłopcy nasi tego rodzaju luksusów nie posiadają jeszcze w swej prywatnej garderobie. Lekcję prowadzi instruktor polski, lotnik bojowy i sportowiec doskonały.

Po południu Junacy idą odebrać rzeczy z dezynfekcji. Cóż to za skarby własne i prywatne przywieźli z czteroletniej wędrówki? Małe, fasowane walizeczki są prawie puste. Ręcznik. Chustka do nosa. Fotografie spłowiałe i wymięte. Ale przede wszystkim pamiątki z Ziemi Świętej, obrazki religijne, książki do nabożeństwa, różańce. Niektóre dla siebie, niektóre już dla rodziny w Polsce. Osobną kategorię stanowią rzeczy jeszcze z Polski — skarby prawdziwe i jakby świętości. Tak na przykład Junak Kasprzyński Janusz podróżuje po szerokim świecie z książką "Józef Piłsudski," ofiarowaną mu na ostatnie imieniny przed wojną przez siostrę, obecnie Pestkę na Środkowym Wschodzie. Z książką tą przejechał trasę: Korzec na Wołyniu — Archangielsk — Taszłak — Pahlevi — Palestyna — dookoła Afryki — Wielka Brytania.

Siedzimy sobie gromadą na trawie. W krótkich, wojskowych niemal w brzemieniu odpowiedziach, znajduję szczegóły o pochodzeniu chłopców i ich rodzinach. Przeważnie są to synowie rolników, pracowników leśnych, osadników wojskowych. Większość z Kresów Wschodnich, choć czasami odezwie się głos z Poznania, czy Krakowa. Większość, ściśle mówiąc ponad dziewięćdziesiąt procent, to sieroty. "Matka zmarła" ... "Ojciec zaginął ..." "Oboje rodzice zmarli ..." Junak Szydło, wywieziony z matką i pięciorgiem rodzeństwa, znalazł się teraz sam na świecie. Matka umarła, pięcioro młodszych dzieci Rosjanie zabrali do ochronki, jemu zaś powiedziano, że może już sam pracować na życie. Miał wtedy lat trzynaście.



Niektórzy Junacy liczą, że może w Anglii spotkają krewnych czy rodziny. W najbliższym czasie ma być ogłoszona lista poszukiwanych przez nich osób. Na razie sygnalizuję dwa nazwiska, na które trafiłam w czasie rozmowy. Junak Jerzy Słowik, lat 17, poszukuje brata Stanisława prawdopodobnie w Lotnictwie Polskim w Anglii. Junak Ryszard Krystman z Poznania, szuka stryja, tego samego nazwiska, zdaje się w Wojsku Polskim w Wielkiej Brytanii.

Nie pytam się chłopców o ich przeżycia i doświadczenia wojenne. Junacy sami o nich nie mówią i — nie chcą mówić. Nie dlatego, przypuszczam, żeby zapomnieli, ale po prostu są w tym szczęśliwym wieku, kiedy przeszłość mija bardzo prędko, a liczy się tylko teraźniejszość. Dzisiaj interesuje ich przede wszystkim szkoła: kiedy dostaną podręczniki angielskie? kiedy zaczną się wykłady? czy przelatujący samolot to "Liberator" czy "Latająca Forteca"? Jest to pierwszy, bardzo ważny krok w kierunku ku dobremu. Na razie można jeszcze zauważyć u nich przypomnienia dawnych przeżyć, ale są one już raczej podświadome. — "Junacy są zanadto poważni — mówi mi angielski Dowódca Szkoły — zanadto wzorowi. Nie urządzają żadnych kawałów, zachowują się niemal, jak dorośli ludzie." Mam wrażenie, że ten mądry starszy pan ucieszyłby się szczerze, gdyby mu którego dnia Junacy dach na szkole rozebrali!

Przed wyjazdem zapytuję Polskiego Dowódcę Szkoły, czego w tej chwili Junakom potrzeba, co można by dla nich zrobić. Oto odpowiedź. 1/ Wszelkie książki w języku polskim, 2/ podręczniki do nauki języka angielskiego, których jest zupełny brak, 3/ słodycze, czekolada, owoce — tego dla młodzieży nigdy nie za dużo. Pieniędzy Junacy nie potrzebują, bo żołd 10 szyllingów na dwa tygodnie wystarczy na najniezbędniejsze wydatki. Za pieniądze można by natomiast kupić dla chłopców owoce, czy słodycze, czy nawet owe kostiumy kąpielowe, żeby nie czuli się upośledzeni wobec swych kolegów angielskich. Podarki dla Junaków należy kierować do Sekcji Opieki nad Lotnikiem, 1, Princes Row, London, S.W.1. Jest tu w Anglii wielu ojców, wiele rodziców, którzy, nie mogąc w tej chwili nic zrobić dla własnych dzieci w Polsce, chętnie napewno będą chcieli pomóc i zaopiekować się dziećmi innych.

Anglicy, zobaczywszy Junaków, otworzyli im szeroko serca. Już dzisiaj myślą o tym, żeby napewno każdy z chłopców na pierwsze w Anglii wakacje — 10 dni na Boże Narodzenie, miał gościnę w prywatnym domu, podarki i *Christmas Tree.* Żeby dać im atmosferę świąt i ciepła rodzinnego. Przypuszczam, że gdyby niektórzy z nich mogli na te dziesięć dni znaleźć się w polskich, choć emigracyjnych domach, z opłatkami i polskimi kolendami, to było by bardzo dobrze. Żołnierze to wprawdzie po półtorarocznej służbie, niemal że już wiarusy junacze, ale takie jeszcze dzieci, takie Janki Wędrowniki tragiczne, a dzielne niesłychanie, którym się przez ostatnie lata świat tylko od najczarniejszej strony pokazywał.

HALINA TOMASZEWSKA

Ze Lwowa do Francji

IV.*

NA GRANICY I PIERWSZE DNI W PARYŻU

Właściwie na tym zakończyć by się powinna moja relacja, ale wydaje mi się, że nie byłaby zupełna bez zamknięcia jej niektórymi szczegółami z Francji. Nie wiem bowiem, czy ktokolwiek inny je notował, a są między nimi i takie, które mają niewątpliwie wartość historyczną.

Co się nas tyczy, to po wylegitymowaniu się paszportami Francuzom i oświadczeniu, że jesteśmy oficerami polskimi, zostaliśmy bez zwłoki poproszeni na rozmowę przez polskiego oficera granicznego. Dowiedziawszy się, iż jesteśmy oficerami gen. Sikorskiego, o którego przyjeździe do Francji był już powiadomiony, oświadczył nam natychmiast, że pierwszym pociągiem pojedziemy do Paryża, nie zaś do Coëtquidan w Bretanii, dokąd kieruje się wszystkich polskich wojskowych. Zaprosił nas na kawę i udzielił mi wiele informacyj o Paryżu, ambasadzie, przybyłej niedawno misji gen. Burhardt-Bukackiego, klasyfikując ludzi i wydarzenia dość krytycznie. Z przyczyn łatwo zrozumiałych opinii tych nie mogę tu powtarzać. Następnie odprowadził nas do wagonu, którym mieliśmy ruszyć w dalszą drogę, wraz z innymi osobami, przepuszczonymi do Paryża. Ogół Polaków cywilnych kierowano wówczas do Tuluzy.

26 września o godz. 4 min. 6 ruszył nasz pociąg przez Chambery, Aix-les-Bains, Culoz, wspaniałą drogą, wiodącą przełęczami górskimi. Lekkie przymglenie, właściwe pejzażowi francuskiemu i nadające mu ową "słodycz," która dała Francji przydomek "*la douce France*," stanowiła wypoczynek dla oka po ostrym świetle włoskim. W drodze kupiłem "*Matin*" z 25 września, donoszący w notatce o przybyciu gen. Sikorskiego do Paryża. Jechaliśmy dalej przez Amberieu i Dijon, gdzie wagony zaciemniono.

27 o godz. 6 przybywamy do Paryża i według pozostawionego nam w Bukareszcie adresu, zgłaszamy się do Hôtel du Danube. Stara to kwatera Generała w Paryżu, na Rive Gauche. Zastajemy tam Generała z Kułakowskim; jest z nimi prof. Stroński. Witają nas wiadomością, że prezydent Mościcki pragnie Wieniawę uczynić swoim następcą, na co jednak rządy sprzymierzone nie wyrażają zgody.

Generał wychodzi na konferencję, pozostawiając mnie dla przyjmowania zgłaszających się do niego osób. Ppłk. Stefczyk idzie na poszukiwanie ppłk. Kędziora, który podobno ma zostać szefem sztabu Legionu Polskiego we Francji.

Po śniadaniu zgłasza się ppłk. Kędzior, z którym Generał najprzód, a my potem mamy długą rozmowę. Kędzior, który był naszym obserwatorem wojskowym podczas wojny domowej w Hiszpanii i uchodzi za bardzo zdolnego oficera, został wyznaczony do Coëtquidan. Mówi nam, że stosunki w ambasadzie uległy znacznej zmianie, ale kurs panuje "pierwszo-brygadowy." Postanawiamy zameldować się jutro w wydziale wojskowym.

28 września meldujemy się obaj ze Stefczykiem i składamy na żądanie meldunki o tym, cośmy robili i widzieli w Polsce oraz podczas podróży. Spotykamy oficerów misji gen. Burhardt-Bukackiego. Zanim skończyliśmy pisać nasze meldunki, rozchodzi się po ambasadzie wieść, że gen. Sikorski obejmuje zwierzchnie dowództwo nad polskimi siłami zbrojnymi we Francji. Jednym miny rozjaśniają się, innym wyraźnie rzedną. Śpieszymy do domu, spotykając po drodze Juliana Tuwima i Konrada Wrzosa.

Wiadomość potwierdza się. O godz. 16-ej towarzyszymy Generałowi do ambasady. Nie jesteśmy jednak obecni przy prezentacji oficerów misji przez gen. Burhardt-Bukackiego. Według natychmiastowej relacji jednego z obecnych, gen. Sikorski powiedział, co następuje:

—"Moi panowie, proszę zapomnieć o tym, co nas dzieliło, a pamiętać, co nas łaczy. Musimy ratować honor armii polskiej, a raczej kontynuować ratowanie tego honoru. Zależy na tym, aby nie zbrakło wojska polskiego w chwili, gdy ważyć się będą losy Polski. Moim hasłem będzie kult kompetencji, a spodziewam się, że spotkamy się wszyscy pod zawołaniem "Honor i Ojczyzna."

Krótkie to przemówienie wywarło podobno doskonałe wrażenie na obecnych oficerach.

Wieczorem Generał długo konferuje z Kędziorem, który przedstawia sporządzony wespół ze Stefczykiem plan organizacji wojska polskiego we Francji i program wyszkolenia w zarysie. Osobiście proponuję, że objąć tymczasem mogę stanowisko oficera do zleceń przy Generale, dopóki organizacja nie wejdzie całkowicie w życie.

Prof. Stroński przedstawia projekt składu Rządu.

29 września rano jadę po min. Augusta Zaleskiego, którego zastaję jeszcze śpiącego. Generał konferuje z nim, z prof. Strońskim, Liebermanem i Pragierem.

O godz. 11 min. 20 słyszymy pierwszy raz w Paryżu alarm lotniczy. Ku zdziwieniu personelu hotelowego, który udaje się do schronu, konferencja trwa. Alarm był bardzo krótkotrwały, nieznaczny po tych, które pamiętamy z Polski.

Przybywają dziennikarze i różni paryscy znajomi Generała; przyjeżdża płk. Fr. Arciszewski. Generał po śniadaniu konferuje z Gamelinem, który podobno ucałował go ze łzami w oczach. Obiad je z gen. Błeszyńskim i prof. Strońskim. Stroński ze swej strony rozmawia z Mühlsteinem.

W rozmowie mojej z Tadeuszem Święcickim, Kisterem i Pragierem ustalamy plan komórki dziennikarskiej, z zużytkowaniem paryskiego P.A.T.-a.

30 września, podczas konferencyj /Arciszewski, Mühlstein/ i fotografii /Wrzos/, przychodzi wiadomość o rezygnacji prezydenta Mościckiego na rzecz Władysława Raczkiewicza, przy którym oficerem do zleceń ma być podobno Marian Chodacki.

Rząd wyznaczony jest w składzie następującym: premier i minister wojny — Sikorski, wicepremier i minister propagandy — Stroński, sprawy zagraniczne — Zaleski, skarb — Koc, opieka społeczna — na razie vacat /ma być wyznaczony przedstawiciel lewicy/, jeden minister bez teki — prawdopodobnie gen. Haller i jeden podsekretarz stanu, który ma być mianowany z czasem. Skład niewielki, odpowiadający ścisłej konieczności.

Rząd odbywa pierwsze posiedzenie.

Tegoż dnia wzywa mnie gen. Burhardt-Bukacki i omawia ze mną możliwość mego wyjazdu do Jugosławii.

1 października odbyło się zaprzysiężenie Rządu. O godz. 11-ej Prezydent Rzeczypospolitej i Rząd w ówczesnym składzie *in corpore* zgromadzili się w kościele polskim St. Honoré na uroczystym nabożeństwie. Kazanie, gwałtowne i patetyczne, z bardzo ostrymi akcentami, wygłosił ks. rektor Cegiełka. Kościół napełnił się dawniej mieszkającymi w Paryżu i nowo przybyłymi Polakami, między którymi był również gen. Wieniawa-Długoszowski. Śpiewano "Boże coś Polskę"; niestety, ani ta pieśń, ani Mazurek Dąbrowskiego nic nie straciły na aktualności. Znowu z ziemi obcej do Polski wracać będzie trzeba orężnie.

Na posiedzeniu 1 października, pierwszym po zaprzysiężeniu, Rząd nadał Warszawie order "Virtuti Militari."

Po obiedzie odbyło się w Bibliotece Polskiej posiedzenie, na którym postanowiono utworzyć w Paryżu centrum studiów polskich i miesięcznik, gromadzący materiały do kongresu pokojowego po zakończeniu wojny. Na kierownika całości upatrzono prof. Oskara Haleckiego.

Nazajutrz przybył do Paryża i został ministrem opieki społecznej Jan Stańczyk. Oficerem do zleceń Prezydenta Rzeczypospolitej mianowano płk. Arciszewskiego.

Jan Ciechanowski objął sekretariat generalny w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Podsekretariat stanu w prezydium Rady Ministrów — Henryk Strasburger.

Tegoż dnia, 2 października, według warunków kapitulacji, odbyło się wkroczenie Niemców do Warszawy. Przez cały czas słuchaliśmy z zapartym tchem wieści radiowych o bombardowaniu i kapitulacji. Był to moment, na który w saloniku hotelowym schodzili się wszyscy mieszkańcy Danube.

3 października przyjechali: Stanisław Bitner, Ładoś objął podsekretariat stanu w Ministerstwie opieki społecznej, a gen. Haller — stanowisko ministra bez teki. Wrócił także ze Szwajcarii Sylwin Strakacz, z którym Generał często i długo pracuje.

Nowi ministrowie złożyli przysięgę. Gabinet rozrasta się ponad przypuszczenia; zastosowanie ma wachlarz partyjny, dla podkreślenia jedności narodowej i charakteru szczerze demokratycznego.

4 października przyjechał płk. Modelski, mjr. Malinowski i Karol Popiel oraz Henryk Strasburger, poprzednio wyznaczony na podsekretarza stanu.

Generał w ambasadzie odbył pierwszą konferencję z dziennikarzami paryskimi. Następnie złożył wizytę Herriotowi.

Otrzymałem od Generała polecenie brania od niego co rano wskazówek, celem komunikowania ich wieczorem dziennikarzom Pertinaxowi i Geneviève Tabouis. Jednocześnie Generał każe mi rozejrzeć się, w porozumieniu z z francuskimi władzami kwaterunkowymi, za lokalem dla naszych władz wojskowych i niektórych ministerstw. Pierwszym lokalem, na jaki padł nasz wybór, jest Hôtel St. James, rue St. Honoré. Ale właściciel staje okoniem i protestuje przeciw rekwizycji, chociaż hotel tylko częściowo jest czynny. Trzeba szukać czego innego.

5 października — przybycie z Węgier oficera ze sztabu gen. Fabrycego i ciekawa jego relacja z wojny oraz z internowania.

Generałowie Niessel i Raynal zgłaszają Generałowi chęć wstąpienia do wojska polskiego we Francji. Obaj są emerytami, ale przyjęcie ich wymagałoby uzgodnienia z władzami francuskimi. Tę odpowiedź polecono mi dać obu generałom, jak najuprzejmiej, ponieważ obaj są wypróbowanymi przyjaciółmi Polski i w Polsce byli przez długi czas.

Herriot składa Generałowi rewizytę w Hôtel du Danube. Tegoż dnia w Izbie Deputowanych deklaracja w sprawie polskiej, zapewniająca Polsce integralność granic.

6 września dalsze starania o lokal doprowadzają do wybrania Hotelu Régina. Na Montmartre kard. Verdier odprawia uroczyste nabożeństwo na intencję Polski.

ZAKOŃCZENIE

Na tym urywają się moje notatki z tego okresu. Następny mój przydział służbowy oddalił mnie od osoby Generała, a więc notowanie trybem poprzednim przestało być celowe. Zresztą rozwój naszej organizacji wojskowej i politycznej uniemożliwiał już jednemu człowiekowi obserwowanie i zapisywanie całości wydarzeń. I tak notatki moje z października nie mają tak kompletnego charakteru, jak poprzednie, z podróży i z pierwszych dni pobytu w Paryżu.

Zdaję sobie doskonale sprawę, że pod względem literackim zapiski te nie mają żadnej wartości; są suche i monotonne. Natomiast, ponieważ sporządzone są na podstawie notatnika, gdzie codziennie i w miarę wydarzeń zapisywałem każdy fakt, nie są pamiętnikiem, ale rozwinięciem dziennika. To nadaje im wartość pewnego autentyku historycznego, gdzie ważniejsza jest ścisłość, niż ozdobność. Nie wiadomo komu, kiedy i na co przyda się ten czy ów fakt, w notatkach pomieszczony, a pozornie błahy lub zbyteczny.

Oczywiście, nie jedno mogło ujść mojej uwadze. Jednakże, jak już wyżej powiedziałem, jestem dziś jedyny pozostały przy życiu z czterech osób, które 13-go września 1939 roku wyjechały ze Lwowa, aby dogonić ówczesnego Naczelnego Wodza Wojsk Polskich, a które wichura wydarzeń przerzuciła aż do Francji, a potem — do Anglii.

Jedna z tych osób weszła do historii polskich zmagań o wolność, a także do historii świata. Tą osobą był zmarły nasz Premier i Wódz Naczelny, generał broni Władysław Sikorski. Drugi, ppłk., następnie płk., Kazimierz Stefczyk, był wybitnym oficerem, gorącym patriotą i nieposzlakowanym człowiekiem, który całe swe życie oddał Polsce, a dla Generała miał uwielbienie i miłość. Trzeci, dwudziesto-paroletni student mechaniki Adam Kułakowski, wyjechał z Generałem na tę wojnę swoim samochodem, jako ochotnik-kierowca, a był Generałowi najwierniejszym i najbardziej oddanym sekretarzem, który nic nigdy nie żądał dla siebie, a całe swe jestestwo oddał Generałowi i sprawie. Los chciał, że mnie wypadło pisać o nich.

Notatnik mój zabezpieczyłem od zniszczenia. Komentarz do niniejszego opracowania, zawierający to, co nie może być w tej chwili ogłoszone z powodu okoliczności wojennych, złożyłem również w zabezpieczonym miejscu. Tę przydługą relację oddaję czytelnikom "Polski Walczącej," w przeświadczeniu, że niejedno wyświetli. Wyświetli tym, co tego nie wiedzieli —a bywałem o to przez kolegów pytany — że gen. Sikorski był w Polsce w czasie kampanii wrześniowej, że nie otrzymał żadnej funkcji bojowej, mimo wielu o to starań, że odmówiono mu nawet uczestnictwa w radzie, w ostatecznym momencie przed przekroczeniem granicy rumuńskiej. Wyjaśni także, w jak ciężkich warunkach ujmował w ręce ster losów Polski na obczyźnie.

Słowa moje, skromny przyczynek do wielkiej epopei, rzucam, jak szara grudkę ziemi na trumnę Wodza Walczącej Polski.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

* Por. nr. 34, 35, 36 "Polski Walczącej" z b.r.

Józek z "Błyskawicy"

Koledze J.P.

Przybył z dalekiej Ameryki, by walczyć za kraj. Jakiś dziwnie cichy, mizerny — jak gdyby nieśmiały. Był ochotnikiem. Polskę znał tylko z opowiadania matki. Matka rozpaliła w nim żar szczerej miłości do Tej, która uległa przemocy, a która nie zginęła i żyje w nas wszystkich, co walczą na pokładach okrętów wojennych, w powietrzu, na lądzie. I w sercach tych, którzy cierpią katusze, tam — w Kraju.

Po nudnym okresie szkolenia, zaokrętowano go na jeden z okrętów wojennych. Pierś rozpiera mu duma i niewysłowione szczęście. Nigdy nie marzył o tym, że będzie pływał na polskim okręcie wojennym. Będąc jeszcze w Ameryce śnił o tym, aby walczyć na morzu i teraz spełniły się te marzenia, spełniły się z nawiązką.

Z mglistej Szkocji wyrusza razem z jednostkami floty brytyjskiej kontrtorpedowiec, na który przydzielono Józka. Załoga poważna i skupiona. Oczy Józka lśnią blaskiem. Czas z każdą minutą zbliża go do oczekiwanej chwili, do wielkiej przygody, do walki.

Wypadki potoczyły się w zawrotnym tempie. Przyszedł desant, konwoje, a z nimi przyszła też i walka. Nieubłagana jakaś, majestatyczna, ziejąca grozą śmierci.

Było to w małym porcie afrykańskim, porcie B . . . Wczesne rano, lekkie opary mgły przysłaniają port. Niebo szare, pokryte lotnymi chmurkami. Dzień wstaje ponury, zasępiony, i jak gdyby trochę zawstydzony. Reda wita nas żałosnym widokiem kilku wraków i żagwią palącego się statku handlowego.

Naraz a l a r m. W jednej minucie załoga stoi na swych miejscach, gotowa do odparcia każdego ataku. Serca ogarnął jakiś dziwny niepokój — coś sie stanie. Pociągła, blada twarz Józka, skupiła się w oczekiwaniu. Tylko oczy płoną wciąż dziwnym blaskiem.

Ciszę przerywa meldunek: "Samolot z lewej burty — leci na nas." Wściekle zagrały działa i broń maszynowa. Lekki zwrot i niebezpieczeństwo minęło. Zza chmur wyskakują coraz to nowe "Ju 88." Artyleria grzmi na wszystkie strony, broniąc okrętu i stojących na redzie statków. Zaczyna się śmiertelna pogoń po redzie. Józek nie czuje obawy, nawet znikło normalne w takich wypadkach podniecenie, pozostał tylko gniew i zaciętość. Nie rozumie grozy sytuacji, nie rozumie, że może zginąć — wie tylko jedno, że żadna siła nie byłaby w stanie wyrwać go ze stanowiska.

Wre tytaniczna praca. Okrętem podrzucają od czasu do czasu eksplozje rzucanych bomb. Atak trwa — dłuży się, nadlatują nowe samoloty, odlatują i znów powracają. Nowy meldunek w ostatniej chwili ostrzegł o grożącym niebezpieczeństwie, z rufy. — "Rany Boskie — pikuje!!!" Na domiar złego atak nastąpił ze wszystkich stron.

Samolot rzucił bomby. Józek widział je, jak oderwały się od samolotu. Wyglądały jak wielkie spadające z drzewa gruszki, tylko, że jakieś czarne i świszczące. Myśli mknęły po głowie Józka, jak błyskawice. Widział dokładnie, że bomby lecą prosto na okręt. Jednak był bezsilny, wiedział, że już nic nie zdoła uratować wielu żyć ludzkich od niechybnej śmierci. Lecz nie bał się jakoś śmierci i czekał.

Tymczasem okręt robi zwrot. Widać już jak rufa ucieka przed niebezpieczeństwem. Przez mgnienie oka odbywa się śmiertelna gonitwa.

Bomby padły blisko rufy, z prawej burty. Okręt podskoczył i zajęczał blachami. Rozległ się silny huk eksplozji i powiała śmierć. Zimna, nieubłagana, dziwnie straszna. Wyrwała dech z młodych istnień ludzkich, przeszła w majestatycznym pochodzie i znikła gdzieś daleko, zostawiając po sobie trupy, kalectwo i krew.

Józek przeszedł chrzest ognia. Z cichym jękiem osunął się na pokład, tracąc prawą rękę. Oczom ukazał się widok — mrożący krew w żyłach! Poszarpane strzępy ciała ludzkiego, splamione krwią. walały się przy działach, na pokładach okrętu. Rozległy się ciche jęki, skargi i bólu. Józek leżał cichy, spokojny i zbroczony własną, młodą krwią . . .

Jednak silna wola wzięła górę. Przezwyciężyła straszny ból i bezwład. Zdrową podtrzymuje strzępy wiszącej ręki i sam o własnej sile idzie na stację opatrunkową. Wie, że stracił rękę, że został kaleką na całe życie. Z rezygnacją godzi się ze straszną rzeczywistością. Jest dumny, że spełnił obowiązek Polaka.

Po operacji leży cichy i spokojny, jakby zapomniany. Tylko oczy straciły swój dawny ogień. Przygasły i zmętniały, trawione bólem i gorączką. Ze spieczonych ust pada pytanie: — "Czy okręt w porządku? — Dużo zabitych?" — Ktoś w przelocie przez pomieszczenie, szybko i nerwowo odpowiada na pytanie i do spieczonych gorączką ust, podaje wodę.

Okręt nadal broni się i odpiera wciąż to nowe ataki. Zwycięża!

Józek myśli teraz o domu i swoich najbliższych. Jest mu żal matki. Jaki to dla Niej będzie ogromny ból! Jej jedynak, który z tak wielkim zapałem szedł walczyć, złożył na ołtarzu ofiar nieubłaganej wojny, swoją — i to bardzo szczodrą daninę.

Żegnaj nam Józku! Pięknie zapisałeś się w kartach historii swojego okrętu. Zostawiłeś po sobie podziw i szczere współczucie . . .

WRZOS

Każdy żołnierz Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii jedną książkę—dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie

Bez black-outu

Okno mego pokoju wychodzi na tyły edynburskiego Ogrodu Botanicznego i codziennie wieczorem na 10 minut przed godziną ósmą słyszę, jak nawołują się starym obyczajem strażnicy Royal Botanic Garden of Edinburgh. Głosy ich w samej intonacji przypominają żywo staromieszczańskie polskie zawołanie stróżów nocnych:

"Hej panowie gospodarze
Już dziesiąta na zegarze"

Zawołanie szkockie jest inne, krótkie i ostrzegawcze: "Closing time." Głosy biegną od bramy głównej przez olbrzymią przestrzeń ogrodu i milkną gdzieś daleko przy ostatniej furcie. Można by wprawdzie zainstalować dzwonki, można by gwizdać albo bić w bęben, jednak tradycja nie pozwala widocznie zakłócać spokoju królestwa kwiatów, palm i innych wytwornych okazów flory z najdalszych zakątków świata. Więc codziennie w wieczór brzmi śpiewne ostrzeżenie: "Closing time."

Wtedy spokojnie bez pośpiechu i wrzawy zaczynają zdążać ku wyjściu ci, którzy przybyli do ogrodu w różnych mniej lub więcej skomplikowanych celach: specjaliści botanicy z notatnikami, student z książką, marynarz ze sweetheartem, starsza pani z robótką włóczkową, szkockie lassies obgadujące pomysły Lorda Wooltona na temat puddingu z ziemniaków, młodociany, bo zaledwie 85 letni dziadek z małym wnukiem, który pragnąłby tu zerwać wszystkie kwiaty i zanieść do domu. Ci ludzie wychodzą w różnych nastrojach: jedni z poczuciem praktycznie spędzonego popołudnia, drudzy zapatrzeni w siebie, inni pełni dostojnego spokoju.

Każdego wieczoru wsłuchuję się w te dwa słowa, które powtarza ogród i dziwne wraz z tym zawołaniem nawiedzają mnie myśli. Jacy my wyjdziemy z tego królewskiego ogrodu Wielkiej Brytanii, gdy strażnicy przy bramach Wyspy równocześnie z dzwonami zwycięstwa zawołają grzecznie ale zdecydowanie: "Closing time"? Czy wyjdziemy zaplotkowani, jak owe szkockie gospodynie, czy rozkochani w sobie, czy z żalem małego chłopca, który nie zdążył zerwać najpiękniejszych okazów, czy może z poczuciem dobrze spędzonego czasu i do końca wypełnionego obowiązku?

Należy zaznaczyć, że "Closing time" to także pora przeglądu całego ogrodu i generalne sprzątanie po gościach. Warto się zastanowić, co znajdą wtedy strażnicy królewskiego ogrodu? Co pozostawimy po sobie? Czy tylko odpadki i śmiecie niewrzucone zawczasu do kosza? Czy drżące w powietrzu plotki i polemiki? Czy porzucone na zawiłych ścieżkach papierki urzędowe a w ustroniach zapomniane miłostki? C o z o s t a n i e p o n a s? Tych kilka oficjalnych tablic pamiątkowych, tych kilkadziesiąt życzliwych rodzin brytyjskich — to niewiele.

Nie myślę oczywiście o tej napewno trwałej pomięci, jaka pozostanie tu po bojowym wkładzie lotników i marynarzy polskich, a w przyszłości także wojsk lądowych, w ogólną sprawę wygrania tej wojny. To jest całkiem zrozumiałe. To są rzeczy historyczne.

Idzie mi raczej o rzeczy na pozór mniej ważne, z którymi przeciętny Brytyjczyk styka się bezpośrednio, praktycznie, codziennie i stykać się będzie po wojnie do końca życia. Taką rolę codziennej towarzyszki odgrywa w tym kraju: K S I Ą Ż K A. Szlaki popołudniowej rozrywki mieszkańca średniej wielkości miasteczka brytyjskiego wiodą od "pubu," do "library," albo od "library" do kina. Instytucja bibliotek publicznych w żadnym innym kraju chyba nie może się poszczycić takim trwałym, codziennym zainteresowaniem obywatela.

Byłem kilka razy w brytyjskiej bibliotece publicznej, w wypożyczalni książek i w czytelni i przyznam się, że byłem prawdziwie zaskoczony tym, co zdążyłem w krótkim czasie zaobserwować. Przede wszystkim należy sobie zdać sprawę z tego, co ludzie przeważnie czytają, kto czyta i pożycza książki i jak odbywa się wypożyczanie? To tylko powierzchowna obserwacja prowadzi niektórych do wniosku zbyt pochopnego, że Brytyjczycy czytają wyłącznie powieści kryminalne. Owszem lubią je, wyżywają się w nich, zaspokajając w ten sposób głód przygód i sensacji. Ale te rzeczy czyta się przeważnie w pociągu, w autobusie, w kolejce podziemnej i często pozostawia je po przeczytaniu jak gazety, jak rzecz, która spełniła swoje zadanie, przestała działać i nie ma wartości na przyszłość.

Przeciętny Brytyjczyk wchodząc do "Public Library" będzie żądał książki zupełnie innej; prawie napewno poprosi o książkę popularyzującą wiedzę, może o ciekawy reportaż podróżniczy albo o interesującą biografię. Po prostu będzie domagał się rzeczy, która w sposób łatwy czegoś go nauczy, rozszerzy światopogląd, umocni przekonania osobiste, albo rozwieje resztki jakichś wątpliwości.

Wypożyczanie odbywa się bezpłatnie, pozostawia się jedynie adres i nazwisko. Najcenniejsze wydawnictwo można dostać niemal na słowo honoru. Nie ma "kaucji," wpisowego, "rewersów" i dziesiątków innych formalności. Nie ma popularnych u nas ostrzeżeń o dopisywaniu świńskich słów na marginesach, czy o wydzieraniu i plamieniu kartek.

Byłem chwilę w takiej wypożyczalni i obserwowałem typy czytelników. W olbrzymiej większości byli to ludzie z tak zwanych u nas "szerokich warstw społeczeństwa," a więc: robotnik, dziewczyna sklepowa, konduktor tramwajowy, dozorca domu, niższy urzędnik, wreszcie fizycznie pracująca młodzież. Lektura rozrywkowa w sposób najzupełniej widoczny, bywa traktowana przez tych klientów prawie po macoszemu. Największy pęd objawia się w kierunku książki o nieznanych bliżej krajach i narodach, których losy w ten czy inny sposób sprzęgły się z dziejami Wielkiej Brytanii.

Na pierwszym piętrze, w pięknej cichej publicznej czytelni jeszcze większe czekały mnie niespodzianki. Przychodzi n.p. facet w niebieskim ubranku w kratki, w kaszkiecie i nie zdejmując nakrycia głowy, żąda książki o malarstwie holenderskim. Bierze w spracowane ręce księgę i zasiada wygodnie za stołem studiując obrazy, posługując się objaśnieniami. Albo n.p. wchodzi mężczyzna, z wyglądu ślusarz lub stolarz; pewnie przed chwilą ukończył pracę, jest świeżo ogolony, oczka trochę błyszczące, krok jakby chwiejny. Jest po nieszkodliwym "drinku." Podchodzi do biurka dyżurnej urzędniczki i prosi o zbiór listów Bonnie Prince Charlie. Spostrzegłszy "Poland" na moim ramieniu pyta, czy wiem, że matka księcia Charlie była z domu Sobieska. Odpowiadam, że oczywiście te koneksje polsko-szkockie są mi znane, a w tej chwili właśnie przeglądam oryginał pisma papieskiego, wydanego z okazji Marii Klementyny Sobieskiej, żony Jamesa Stuarta. Obok mnie przy stole czerwony jegomość — jak sie okazało "tobacconista" czyta rozgorączkowany olbrzymią księgę o dziejach rewolucji francuskiej.

Wychodząc z tej czytelni chcę oddać do rąk urzędniczki ów cenny dokument papieski, ale jej nie ma, zeszła na dół do biura, czekam więc cierpliwie kilka minut. "Tobacconista" — rewolucjonista zwraca mi uwagę, że tutaj nigdy nie oddaje się nawet najcenniejszych książek "do rąk własnych" dyżurnej, ale po prostu kładzie się te rzeczy na jej biurku i wychodzi bez żadnych formalności. Więc kładę i wychodzę. Tak, tak. Pewność i zaufanie. Teraz dopiero rozumiem prawdziwą treść tych słów.

Krótki pobyt w brytyjskiej bibliotece publicznej upewnił mnie w przekonaniu, że jedyna realna droga, zmierzająca do pozostawienia i ugruntowania dobrej pamięci o Polsce i o sprawie polskiej w sercu Brytyjczyka prowadzi przez książkę w języku angielskim o naszym kraju i o nas. Książki te muszą się znaleźć we wszystkich bibliotekach publicznych Wielkiej Brytanii. Tylko wtedy będziemy mogli wyjść z tej wyspy spokojni i pewni, że Polska pozostanie w pamięci przyszłych pokoleń. Że myśleć będzie o naszej Ojczyźnie syn tego faceta w kaszkiecie i wnuk tego ślusarza i prawnuk czerwonego "tobacconisty." To czego oficjalna nasza propaganda nie potrafiła jeszcze dokonać na terenie Stanów Zjednoczonych, my żołnierze z łatwością możemy przeprowadzić na terenie Wielkiej Brytanii.

Podejmuję dzisiaj piękną, pożyteczną inicjatywę, rzuconą przed kilkoma tygodniami na łamach "Polski Walczącej" /nr. 21/ przez kolegę Żychowicza: Niech każdy oddział wojska polskiego, niech każdy dywizjon lotniczy, czy grupa marynarzy wojennych lub handlowych — w miejscach krótkiego nawet postoju na terenie Wielkiej Brytanii zaopatrzy miejscową publiczną bibliotekę w pożyteczne książki o Polsce w języku angielskim. Redakcja "Polski Walczącej" służy radami i wskazówkami w tych sprawach pisemnie lub ustnie.

Rzecz jest ważna i godna wysiłku. Prosimy kolegów o nawiązanie kontaktu z redakcją w tej sprawie. Prosimy o zawiadomienie o już dokonanych lub projektowanych pracach w tej mierze. Będziemy każdorazowo ogłaszali w dodatkowych wykazach w tym felietonie, jakie oddziały, dywizjony, okręty, czy grupy kolegów i co ofiarowały do miejscowych bibliotek publicznych: Zwróćcie uwagę, Koledzy, na malutkie i może zapomniane miejsca naszych dawnych postojów. Zwróćcie uwagę na miasteczka szkockie i angielskie, gdzie życie intelektualne wiąże się ściśle z tego typu instytucją jak "Public Library."

Żołnierz polski, który tyle dobrych i pięknych rzeczy opowiadał o Polsce przy gościnnym brytyjskim kominku, niech jeszcze raz udowodni, że rozumie i czuje tę p r a w d z i w ą p r o p a g a n d ę, żywą i naturalną, pozbawioną papierków i biurokratyzmu.

Śpieszmy się, Kochani Koledzy. "CLOSING TIME."

WIKTOR BUDZYŃSKI

Skrzynka pocztowa

P.C.K. A SPRAWA POMOCY JEŃCOM POLSKIM W NIEMCZECH

Szanowny Panie Redaktorze,

W artykule p.t. "Protestuję" w nr. 34 "Polski Walczącej" skarży się jeniec p. Jacek Lis zbiegły z niewoli na brak ludzi, którzyby losem jeńców się przejmowali, o potrzeby ich się troszczyli.

Biedny chłopak przeszedłszy całe piekło niewoli, mękę oczekiwania, marzenia o wolności, trudy i ciężką próbę ucieczki dostaje się do Wielkiej Brytanii. Tutaj pragnie się komuś poskarżyć, wyżalić, pomóc jak najprędzej kolegom pozostawionym po tamtej stronie. Zwraca się do poszczególnych ludzi o pomoc. Wskazują mu Polski Czerwony Krzyż. Przychodzi opowiada swoje przeżycia, skarży się, że pomoc jest niedostateczna. W odpowiedzi otrzymuje szereg pytań, co do ilości jeńców w danym obozie, stanu zdrowotnego jeńców, ilości paczek, które dochodzą. Pytania są suche, mechaniczne, jeniec nie na wszystkie umie odpowiedzieć. Jego ucieczka przecież była wyczynem, jego dola szczególnie zła. Wydaje mu się, że go nikt w tym kraju nie rozumie, że przepaść dzieli tamtych w niewoli od tych tutaj siedzących przy biurku, dobrze odżywionych ludzi.

Tak jednak nie jest. P.C.K. jest instytucją zajmującą się losem jeńców ze szczególną troskliwością, ludzie, z którymi się były jeniec spotyka nie są bez serca i zrozumienia.

Niewola jest rzeczą straszną, okresem, który stanowi ciężką próbę moralną dla każdego człowieka, okresem, który wyzwala nieraz najlepsze ludzkie instynkty społeczne, uczy współżycia, samozaparcia się siebie, w cierpieniu i samotności kształci się wola, pogłębia się wyrozumienie i współczucie dla drugich. Ucieczka z niewoli jest wspaniałym dowodem instynktu życia i czynu, niezduszonego niewolą, umiejętności walki z przeciwnościami, sprytu, zaradności. Jeżeli nie wszyscy patrzą na niego jak na bohatera, to jednak uważają go za naprawdę dzielnego człowieka.

Wizyta żadnego jeńca nie pozostaje w P.C.K. bez śladu. Ale P.C.K. jest instytucją opiekującą się nie tylko poszczególnym jeńcem, nie tylko poszczególnymi obozami. Pod opieką P.C.K. pozostaje przeszło 68.000 jeńców i kilkanaście tysięcy internowanych. Każdy z nich równie potrzebujący pomocy, każdy z nich równie cenny i ważny obywatel przyszłej wolnej Polski, dla której trzeba go przechować w zdrowiu, w możliwych warunkach materialnych, zaspakajając jego intelektualne potrzeby. To jest majątek narodowy, który trzeba chronić, na nim, nie na pieniądzach i złocie oprze się przyszłe państwo polskie.

P.C.K. wypytuje, P.C.K. zaznacza na każdym kroku, P.C.K. prosi o dane statystyczne dotyczące "Oflagów" i "Stalagów," o jak największą ilość nazwisk jeńców z szczegółami ewidencyjnymi, o informacje o stanie pomieszczeń, ogrzewaniu ich, metrach sześciennych przypadających na osobę, o racjach jedzenia, o sposobie rozdawania paczek, o ilości transportów przychodzących. Z tych wiadomości, z drobiazgowych nieraz zestawień, z raportów delegatów Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, P.C.K. tworzy sobie dokładny obraz życia jeńców.

Jeżeli dojdzie jakaś wiadomość o złym traktowaniu jeńców, o niedoręczaniu paczek wówczas delegat P.C.K. w Genewie interweniuje na życzenie Zarządu Głównego w M.C.K. W wypadku przekroczenia konwencji genewskiej P.C.K. występuje oficjalnie w obronie praw i przywilejów jeńców. W zależności od otrzymywanych danych zmniejsza się lub zwiększa wysyłkę transportów zbiorowych do danych obozów przyjmując za zasadę 75% dla "Stalagów," 25% dla "Oflagów."

W związku z przedłużającą się wojną i pogarszającą się stale sytuacją żywnościową w Niemczech z powodu blokady angielskiej, racje żywnościowe zostały w ubiegłym roku zmniejszone. W związku z tym P.C.K. zdwoił swoje transporty żywności. Jak wynika z informacyj jeńcy cierpią na brak tłuszczów, zdwojono więc wysiłki, ażeby wysyłać jak najwięcej tłuszczów. Nie są to rzeczy łatwe i osiągalne w ciągu kilku tygodni. Każdy niemal kraj neutralny i sprzymierzony podlega ograniczeniom wywozowym, istnieją ściśle strzeżone kontyngenty pozwalające wysyłać tylko pewną ilość żywności, odzieży z danego kraju, P.C.K. musiał zatem pozakładać i rozszerzyć działalność poszczególnych delegatur. Obecnie 22 delegatury pracują dla sprawy polskiej w krajach neutralnych kontynentu europejskiego, na Bliskim i Środkowym Wschodzie, w Afryce Wschodniej i Południowej, w obu Amerykach, w Indiach, Australii i Nowej Zelandii.

Z centrali P.C.K. i z delegatur wysyła się dziś żywność w takich ilościach, że obecnie każdy jeniec przeciętnie otrzymuje jej 10 kg miesięcznie. Z Ameryki wysyła się miesięcznie 56.000 paczek żywnościowych à 5 kg, Chile wysyła doskonałe szynki, z Egiptu idą tłuszcze, mleko kondensowane, masło, miód, cukier, z Portugalii doskonałe konserwy rybne, konfitury i t.d.

Ponieważ jeńcy cierpieli na brak mundurów, które się wydzierały, P.C.K. dostarczał im w roku ubiegłym miesięcznych transportów mundurów. W bieżącym roku ze St. Zjednoczonych rozpoczęto wysyłkę 56.000 kompletów mundurowo-odzieżowych.

W czasie 4-letniej niewoli zdołano zorganizować dla jeńców specjalne kursa uniwersyteckie w niektórych "Oflagach," wszędzie kursy języków obcych, pozakładano też biblioteki obozowe. Do tego potrzebne są podręczniki, książki naukowe i ogólno-kształcące, których P.C.K. wysłał około 20.000 tomów. Poza tym P.C.K. subwencjonuje organizacje międzynarodowe, jak *Educational Relief Fund* i *Bureau International d'Education*, które dostarczają jeńcom książek i pomocy naukowych.

W zrozumieniu potrzeby indywidualnej pomocy dla jeńców i jej moralnego znaczenia realizuje P.C.K. w miarę możności wszelkie nadchodzące pod adresem P.C.K. zapotrzebowania jednostkowe, pośredniczy w pomocy indywidualnej dla jeńców oraz popiera i współpracuje z Sekcją Matek Chrzestnych zorganizowaną przy S.S.K.P. Sekcja ta założona z pań wolontariuszek otacza opieką tych jeńców, którymi się nikt nie opiekuje, wyszukując dla nich "wojenne matki." Oczywiście jest jeszcze wiele do zrobienia, dotychczas są jeszcze jeńcy, którzy jeszcze nigdy, poza transportami zbiorowymi, indywidualnej paczki nie otrzymali.

Te kilka informacji i cyfr są dowodem, że są jednak ludzie, którzy się losem jeńców nie tylko interesują, ale robią wszystko w zakresie swoich możliwości, ażeby ulżyć ich smutnej doli.

Każdy jeniec polski przybywający na ziemię brytyjską powinien odwiedzić P.C.K., opowiedzieć o swoich przeżyciach, dostarczyć danych, któreby mogły pomóc. Pokaże mu się wielkie kartoteki jenieckie, liczące kilkadziesiąt nazwisk jeńców z odznaczonym na karcie maleńkim pamiętnikiem jeńca: datami wysyłki paczek, przychodzących listów i potwierdzeń. Znajdzie tam zapewne i swoje nazwisko, sprawdzi, ile paczek mu wysłano i pani przy kartotece wypisze dużymi literami w poprzek karty, że wrócił. Pokaże mu się dziesiątki tysięcy potwierdzeń otrzymania paczek z obozów, listy, w których jeńcy dziękują w gorących słowach za otrzymane paczki, listy klientów, dziękujące za odszukanie braci czy mężów w obozach jeńców. Znajdzie tam także listy swoich kolegów również zbiegłych z niewoli, piszących o serdecznym przyjęciu w Wydziale Jeńców.

Tylko nie trzeba uogólniać. Tylko na wszelką ludzką pracę należy spojrzeć oczami człowieka dobrej woli, który chce zobaczyć nie tylko złe, ale i dobre. Nie da się ponieść złemu wrażeniu i z jednej obojętnej twarzy spotkanej nie wyczyta, że wszyscy ludzie są nieczuli na nędzę i biedę ludzką.

Zofia Leszczyc

JESZCZE W SPRAWIE POBYTU GENERAŁA SIKORSKIEGO WE LWOWIE WE WRZEŚNIU 1939 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z prawdziwą radością przeczytałem w nr. 36 "Polski Walczącej" list p. min. Karola Popiela, komentujący i uzupełniający pewien ustęp mojej relacji p.t. "Ze Lwowa do Francji," a mianowicie to, co napisałem o namawianiu ś.p. generała Sikorskiego do zrobienia we wrześniu r. 1939 zamachu stanu. Cieszę się z wszelkich rzeczowych komentarzy, bo — jak to słusznie p. min. Popiel ocenia — w najlepszej wierze pragnę przyczynić się do ustalenia prawdy historycznej, odnośnie okresu czasu, w którym dane mi było dzielić bezpośrednio losy Generała.

Muszę przede wszystkim stwierdzić, że relacja moja spisywana jest według posiadanego przeze mnie notatnika, który prowadziłem przez cały ciąg podróży, notując codziennie zaszłe wydarzenia. Od tekstu tego dzienniczka staram się nie odbiegać, pojmując, że w jego bezpośredniości jest jego największa wartość. Inkryminowany ustęp jest zupełnie ścisłym odbiciem tego, co mi Generał wtedy powiedział.

Wchodząc w intencje p. min. Popiela, najchętniej stwierdzam, że Generał żadnego nazwiska wówczas nie wymienił. Co więcej, gdy tę część mojej relacji Generał rok temu czytał w Londynie, bo wtedy ją pisać zacząłem, zaznaczył własnoręcznie na skrypcie, że do zamachu stanu nie namawiał Go prof. Kot /ze stylistycznego wówczas układu zdań mogło się było nasunąć takie domniemanie, chociaż bez takiej intencji z mojej strony/, "ale zupełnie kto inny." Kto — nie napisał. Ponieważ prof. Kot był wybitnym i bliskim Generałowi przedstawicielem opozycji, trudno przypuścić, aby tak ważna sprawa mogła być postanowiona bez powzięcia jego zdania i bez jego przychylnej opinii. Pokrywa się to więc logicznie z wyjaśnieniem p. min. Popiela, odsuwającym namowę do zamachu stanu od reprezentantów opozycji politycznej.

Przed kilku tygodniami dr. Zygmunt Nowakowski opowiedział mnie i kilku jeszcze osobom po konferencji prasowej w Ministerstwie Obrony Narodowej /tematem dnia tego była działalność ś.p. generała Sikorskiego/, że to on był inicjatorem projektu zamachu stanu. Po rozmowie z Generałem udał się w tej sprawie do nieżyjącego już też dzisiaj wojewody Biłyka, żadnego jednak wyniku nie osiągnął. Ponieważ wszakże w poprawkach swoich na mojej relacji Generał ani żadnego z tych dwóch, ani żadnego innego nazwiska nie napisał, przeto czułem się związany dyskrecją co do nazwisk, których zresztą w obecnie drukowanym tekście relacji ze zrozumiałych względów staram się unikać.

List p. min. Popiela sprawę tę ujawnia, ale i całkowicie wyjaśnia, myślę zresztą, że bez szkody dla kogokolwiek. Sam bowiem zamiar zamachu stanu, powzięty dla ratowania kraju *in extremis*, nie może być nikomu poczytywany za złe. Gdyby mógł coś uratować, to na pewno byłby znalazł gorących zwolenników, spragnionych mocnego i celowego kierownictwa w chwili klęski. Cała bieda, że w sytuacji ówczesnej pomysł był zupełnie nierealny, co Generał doskonale na pierwszy rzut oka zrozumiał, a co — jak z listu p.min. Popiela wynika — rozumieli i członkowie opozycji politycznej.

Kończąc, pragnę wyrazić szczere zadowolenie, że p. min. Popiel nie wątpi o mojej dobrej wierze w relacjonowaniu znanych mi faktów. Nie zbyt często czytuje się podobnie uprzejme zdania w tutejszych polemikach, więc bardzo mi miło, że mnie ono dotyczy.

Zechce Pan przyjąć, Panie Redaktorze, wraz z wyrazami prawdziwego poważania, koleżeński uścisk dłoni.

Antoni Bogusławski

Dla jeńców w Niemczech: "paczki od serca"

Dear Sir,
Will you find enclosed £3 sh.3 d.6 collected by British and American soldiers during our concert in Women Voluntary Service Canteen in Cambridge for Polish Red Cross Prisoners of War Fund.
We are taking pleasant opportunity to express our most sincere thanks to Misses Grey and Gurney and our British and American comrades in arms for their generous contributions.

Sincerely yours,
Polish Forces Theatre "Lwowską Fala"

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,
Pozwalam sobie przesłać £2 na pomoc Jeńcom polskim w Niemczech i proszę o przekazanie tej kwoty "Sekcji Pomocy Polskim Jeńcom Wojennym."
Z poważaniem
M.L. ppłk.

* * *

Przesyłam 20 szylingów na "paczkę od serca."
M.P.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,
Pozwalam sobie przesłać Panu w załączeniu £1.1.0 /jeden funt, jeden szyling/ ofiarowanych przez pracowników Administracji "Dziennika Polskiego" i "Polski Walczącej" na "Paczki od serca" dla jeńców wojennych w Niemczech, z prośbą o przekazanie tej sumy Sekcji Pomocy Jeńcom Wojennym S.S.S.K.
A. Misiakowski

* * *

P. Jacek Lis nieprzyjęte honoraria w kwocie £3 ofiaruje na "Paczki od serca."

* * *

Do Redakcji "Polski Walczącej,"
Przesyłamy na pomoc Jeńcom Polskim dziesięć szylingów.
XYZ

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £38.14.6 /słownie trzydzieści osiem funtów, czternaście szylingów i sześć pensów/ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Jeńcom Wojennym — Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na pomoc Jeńcom Wojennym za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £675.14.4½ /słownie sześćset siedemdziesiąt pięć funtów, czternaście szylingów, cztery i pół pensa/ i 50 milrejsów.

Town Clerk's Office, Alloa,
14th September, 1943.

Dear Sir,
During the period from 7th to 15th August my Town Council organised a series of attractions to encourage the inhabitants to stay at home during that holiday period. The programme is not organised to make any profit, but despite very bad weather conditions, there was a cash surplus left in the hands of my Council which they agreed to distribute amongst various Charitable Organisations.
As part of the attractions my Council were greatly indebted to the assistance given by the Polish Military and Dance Bands and the Polish Military Football Team. They gave their services willingy and without any payment. In recognition of this happy spirit and as a small help to a Country which has suffered so greatly, my Council unanimously agreed to make a donation of £10 for the benefit of Polish Prisoners of War in Germany. I have thus pleasure in sending you my cheque for that amount.
While the donation may not be large, it is given to you with the very best wishes of the Council.

Yours faithfully,
William Maltman,
Town Clerk.

* * *

W załączeniu przesyłam czek na £7 /siedem funtów/ z przeznaczeniem na paczki dla jeńców wojennych w Niemczech, zgodnie z wezwaniem "Sekcji Pomocy Polskim Jeńcom Wojennym" ogłoszonym w nr. 36 "Polski Walczącej."
por. S.R.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,
W załączeniu przesyłam £10 /dziesięć funtów/ na paczki dla szarej masy jeńców, którzy nie otrzymali jeszcze ani listu ani paczki. Wydaje mi się, że apel pp. Jacka Lisa i Budzyńskiego miał przede wszystkim tych jeńców na myśli.
A.I.

* * *

Na apel p. Wiktora Budzyńskiego przesyłam w załączeniu £1 na "paczkę od serca."
B.S.-J.

Pomoc dla Polaków w Rosji: £9,891

W dniu 11 września 1943 r. przy wypłacie żołdu, żołnierze 16 Szwadronu Łączności złożyli kwotę £3 sh.5 d.2 na fundusz "Opieki na Dzieckiem polskim wyewakuowanym z Rosji." Pieniądze przesyłam załączonym Money Orderem.
plut. R.

* * *

W załączeniu przesyłam czek No. 743228 na sumę 5 funtów, które proszę przekazać na pomoc dla Polaków w Rosji.
por. B.P.

* * *

W załączeniu przesyłam Money Order HN 51248 na sumę £23.17.6 — zebraną na pomoc dla Polaków w Rosji, podczas wystawy fotograficznej "Through Polish Eyes" w Torquay w czasie od 20 do 31 sierpnia b.r.
Torquay było osiemnastą z rzędu miejscowością, którą odwiedziła wystawa, a ogólna liczba zwiedzających tę wystawę dosięga 100.000 osób.
Paweł Miller

* * *

W załączeniu przesyłamy Money Order na sumę £15 /słownie piętnaście funtów/ jako składkę za miesiąc sierpień i wrzesień b.r. na Polaków w Rosji — od pracowników Polskiej YMCA.
Polska YMCA w Wielkiej Brytanii

* * *

Pozwalam sobie przesłać na ręce Szanownego Pana kwotę £1 /jeden/ złożoną przez rodzinę szkocką w rocznicę śmierci mjr. Minkiewicza, na dzieci polskie w Rosji.
kpt. Piotr P.

* * *

Przesyłam 30 szylingów na dzieci polskie w Rosji.
M.P.

* * *

Nieprzyjęte przez pchor. D... honorarium w wysokości £2 /dwa funty/ z podziękowaniem za obronę przed 8 Sądem Polowym — przekazuję na Fundusz Pomocy Polakom w Rosji.
I.B.S.

* * *

W załączeniu przesyłam 10 szylingów z przeznaczeniem na pomoc dla Polaków w Rosji. Pieniądze te stanowią nieprzyjętą przez ks. kap. F.K. opłatę za odprawienie mszy św. na intencję Żony mojej w dniu Jej Imienin.
kpt. E.W.

* * *

Oficerowie, podoficerowie i szeregowcy na terenie R.A.F. Maintenance Command — na pomoc Polakom w Rosji złożyli w miesiącu sierpniu 1943 r. kwotę £11.7.1½.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £63.9.9½ /słownie sześćdziesiąt trzy funty, dziewięć szylingów, dziewięć i pół pensa/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £9,891.13.4 /słownie dziewięć tysięcy osiemset dziewięćdziesiąt jeden funtów, trzynaście szylingów i cztery pensy/, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5½ dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 100 milrejsów brazylijskich.

Zbiórka książek dla żołnierzy polskich na Wschodzie

Z kantyny polskiej w Blackpool przysłano 25 podręczników do nauki języka angielskiego.

* * *

Przesyłam komplet /6 tomów/ "Potopu" Henryka Sienkiewicza oraz "Pieśni ludowe" dla żołnierzy polskich na Wschodzie.
Władysław Juchnowicz

* * *

Witold Tusiewicz nadesłał: 1 komplet skryptów maturalnych i "Czarny rejestr" Roberta Vansittarta.

* * *

Redakcja "Polski Walczącej" ofiaruje: dr. Aleksander Patejdl: "Wademekum ortograficzne" 2 egz. I. Kaczor: "Słownik polsko-czeski."

* * *

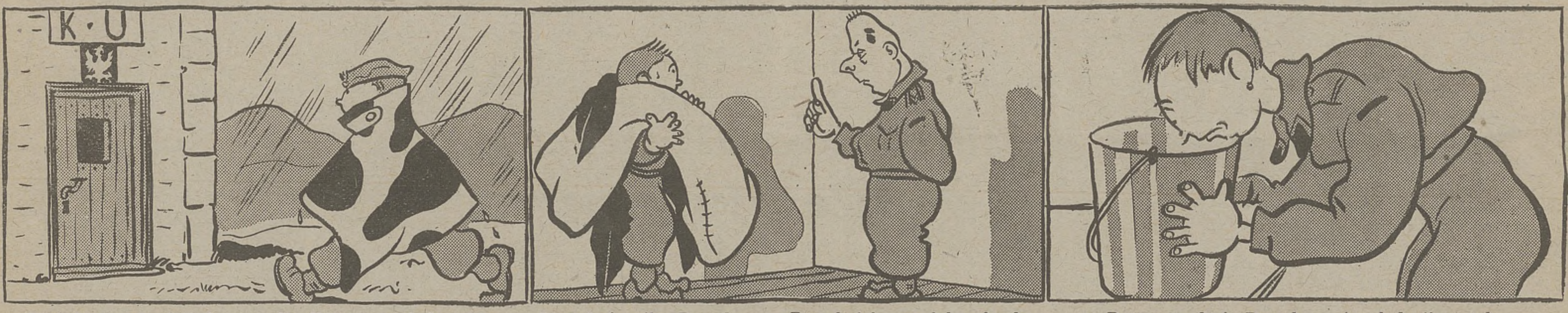
W myśl apelu "Polski Walczącej" załączam kilka książek dla żołnierzy naszych na Bliskim Wschodzie.
por. Z.K.D.

załączono: Mieczysław Norwid Neugebauer: "Kampania wrześniowa w Polsce - 1939." Stanisław Ordon: "Łuna nad Warszawą." "Z Bogiem za wiarę i Ojczyznę." "Manuel do conversation avec prononciation Francais-Anglais." "Polish Phrase Book." Zygmunt Frenkiel: "Mówmy po francusku." Tadeusz Katelbach: "U kresu drugiego etapu." "Bellona" zeszyt 9 /wrzesień 1941 r./.

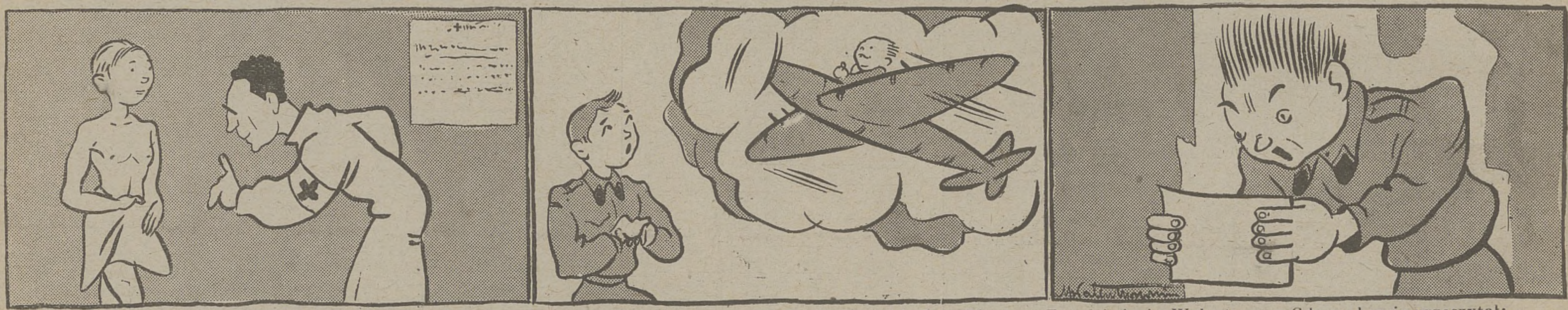
Tekst: RYSZARD POBÓG

PRZYGODY WALENTEGO POMPKI

Rysunki: MARIAN WALENTYNOWICZ



W Szkocji lało. Wiadomo.
Mokry, głodny, ziębnięty
Do K.U. przed kolacją
Przybył Pompka Walenty.
Dostał siennik. Dwa koce.
Kiedy—spytał—kolacja?
Zaczekajcie—szef krzyknął—
Najpierw jest rejestracja!
Rejestrował się Pompka
Od Adama i Ewy,
A z kolacji zostały
Same fusy i plewy.



U lekarza wizyta
Była krótka i szybka:
Pompka—lekarz zapisał—
Zdrów zupełnie, jak rybka.
Gdy spytano Walusia
Jaki pragnie mieć przydział,
Odpowiedział: Lotnikiem
Chętnie siebie bym widział!
Ze zdziwienia Walenty
Ręką potarł swą skroń aż,
Gdy na karcie przeczytał:
"Pompka W. Spadochroniarz."

SPIS RZECZY:

POSZUKIWANIA

ZAWADZKI Roman, poszukuje ZUBA Eustachego dla którego ma wiadomości od żony. Zgłoszenia do Adm. "P.W." pod "List."

LEON JERZY KRZYWICKI, który był wywieziony jako jeniec wojenny do Rosji jest poszukiwany. Wszelkie informacje prosimy nadsyłać do Admin. "P.W." pod "Inż.A.K."

1. Wszystkie osoby mogące dać jakąkolwiek wiadomość o rodzinie WOLF DROCK /recte/ LAUER lub o mgr. praw BEZALEL LAUER, jego żonie i dziecku, pochodzących ze Złoczowa, woj. Tarnopolskie jak również,

2. ABITURIENCI GIMN. im. Kr. JANA SOBIESKIEGO z lat 1934 i 1935 w Złoczowie, proszeni są o zgłoszenie się pod adresem: Mr. Fabian Lauer, c/o David Turoff, 29, Charles Str., Wilkes-Barre, Pa., U.S.A.

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.
Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.
Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fieds, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.